

Przewodnik Katolicki

Ilustrowany tygodnik dla rodzin katolickich - Redaktor założyciel X. Józef Kłos, redaktor nacz. X. Fr. Forecki



W miejscu odpustowem przed cudownym obrazem

(Objaśnienie obrazka na stronie 328)

A. Kampf.

KSIĄDZ

Od zarania dziejów Polski — poza swą pracą duszpasterską prowadzi w Polsce dzieło kultury i oświaty, tworzy, funduje w Polsce pierwsze szkoły ludowe przy kościołach i klasztorach. Sam w nich jest pierwszym nauczycielem ludowym, który ludowi podaje abecadło, uczy rachować, pisać.

Tworzy, funduje wyższe szkolnictwo, jest pionierem nauki i wiedzy. Wspomnijmy jedno nazwisko: księdza Mikołaja Kopernika.

Ksiądz to — zanim jacykolwiek „przyjaciele ludu” wspomnieli o niedoli robotnika wiejskiego czy miejskiego — przez wieki bronił go przed wyzyskiem, przypominając komu należy o zatrzymaniu zapłaty najemnikowi jako o grzechu wołającym o pomstę do nieba.

I ksiądz niesie ludowi pierwszą pomoc socjalną, tworząc (w Polsce dawnej niemal w każdej parafii) przytułki dla starców i kalek, fundując zakłady pomocy finansowej, „banki miłosierdzia” (ks. Piotr Skarga), broniąc przed uciskiem socjalnym (tenże ks. Piotr Skarga), walcząc o prawa polityczno-społeczne (w Konstytucji 3 maja — ks. Hugo Kołłątaj, ks. Stanisław Staszyc), przelewając swą krew i idąc do więzień i na zsyłkę syberyjską oraz ginąc na moskiewskich szubienicach za uwłaszczenie włościan (w b. Kongresówce w latach 1863—1865 księży: Brzóska, Mackiewicz i około 600 księży, którzy w powstaniu i po powstaniu 1863 r.

za te hasła i za powstanie cierpieli więzienia i zsyłkę, ponieśli śmierć w bojach lub na szubienicy moskiewskiej).

I ksiądz wskazuje jeden z pierwszych ludowi drogę do lepszego jutra jego i Polski przez działalność spółdzielczo-oświatową. Wystarczy wspomnieć znów jedno nazwisko: księdza prałata Wawrzyniaka w Wielkopolsce.

Nazwisko sztandarowe i symboliczne.

Wychodźstwo polskie okrywa sobą cały glob bodaj ziemski. Polski ksiądz staje przy nim w Westfalii, na „Sach-sach”, w Francji, Ameryce, Azji, gdziekolwiek Polacy poszli za chlebem.

Ksiądz polski, strzegący w sercach wychodźstwa naszego skarbu wiary, jest na wszech szlakach polskiego tułactwa ludowego stróżem mowy polskiej, patriotyzmu polskiego i obyczaju polskiego.

Gdy trzeba, tenże ksiądz polski cierpi z ludem swoim. Niedawno X. biskup gdański O. Rourke drukiem podał ciekawą liczbę o księżach w Bolszewji. Pozostało tam dotychczas około 300 księży. W większości to księży-Polacy. Dwie trzecie ich znajduje się w więzieniach.

Właśnie przed paru tygodniami donosiły pisma o blisko 70 księżach, zesłanych na wyspy tortur i śmierci „na Sołówki”. I umie ksiądz polski poświę-

cać się nie tylko dla swoich. Jezuita — ks. Beyzym długie lata służył trędowatym na dalekiej obczyźnie, aż zarażony trędem sam wśród nich na wieki spoczął.

Polscy księży misjonarze pracują w Afryce, w Chinach, Japonii...

W dniach grozy wojennej polski ksiądz staje mężnie i wiernie przy polskim żołnierzu.

I tutaj wspomnijmy jedno nazwisko-symbol:

Ksiądz Ignacy Skorupka.

Na wieś i do skupisk robotniczych cisnie się agitacja: bez księży! Budzi się niechęć, nieufność do księdza. Ulepiono bezmyślne hasło o „księży-pańskich intrygach”. I miejsce księdza, odwiecznego i niezawodnego przyjaciela ludu zajmują (zwłaszcza wśród młodzieży) agitatorzy, którzy te masy ludowe, tę młodzież wodzą od obozu do obozu, od partii do partii, którzy dziś są, a jutro znikają, dziś głoszą jedno, a jutro drugie.

A polski ksiądz już tysiąc lat wierne służy Bogu i Narodowi, Kościołowi Chrystusowemu i Ojczyźnie-Polsce.

I od tysiąclecia niesie wiernie i uczciwie swe siły i serce sprawie ludowej. Przy nim stójmy. Tam oparcie pewne.

Wojciech Grot.

Ewangelja na V. niedzielę po Wielkiejnocy

zapisana u św. Jana w rozdziale 16, wiersz 23—30.

Won czas mówił Jezus do uczniów swoich: Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: o cokolwiek poprosicie Ojca w Imię moje, da wam. Dotychczas o nic nie prosiście w Imię moje. Proście, a otrzymacie, aby radość wasza była pełna. To mówiłem wam w przypowieściach. Nadchodzi godzina, kiedy już nie będę do was przemawiał w przypowieściach, ale otwarcie o Ojcu opowiadać wam będę. W owym dniu prosić będziecie w Imię moje; nie mówię wam wszelako, że to Ja prosić będę Ojca za wami. Sam bowiem Ojciec miłuje was, gdyż wyście Mnie umiłowali, i uwierzyliście, że Ja od Ojca wyszedłem. Wyszędłem od Ojca i przyszedłem na świat; opuszczam znowu świat i wracam do Ojca. Mówią doń uczniowie Jego: Oto teraz otwarcie mówisz, i nie opowiadasz żadnej przypowieści. Teraz mamy pewność, że wiesz wszystko i nie potrzebujesz, aby Cię pytano. Dlatego wierzymy, żeś od Boga wyszedł.

NAUKA

Jeśli pojmujemy na serjo nasze życie, to jest jasne, że musimy się modlić...

Dziś Pan Jezus znów tak bardzo dobitnie przypomina nam obowiązek modlitwy.

A nacisk, jaki Zbawiciel kładzie na konieczności modlitwy i na tem, że zawsze trzeba się modlić, świadczy o tem: jak dobrze znał Chrystus Pan naturę ludzką i jak głęboko sięgał swem Okiem Bożem w dusze swych uczniów... po wszystkie czasy.

I nas Pan Jezus widział w tej chwili, gdy wykladał uczniom swym i rzeszy, ciszącej się doń, o konieczności modlitwy.

Widział naszą dobrą wolę, ale widział też naszą płytkość i naszą krótkowzroczność. Z wyrozumiałością, nad wyraz czułą, i serdecznością ojcowską patrzył już wówczas na nasze „zabiegi” dookoła „Akcji Katolickiej”. I już wówczas przygotował dla nas tę wymówkę, którą należy ująć w te proste słowa: „pierwszą Akcją Katolicką jest — modlitwa!”

Od modlitwy trzeba zaczynać!!!

My to rozumiemy naogół w ten sposób, że nasze zebrania poczynamy od wezwania pomocy Bożej. I dobrze, że na ich progu kładziemy znak Krzyża św. Dobrze, że każdy ranek uświęcamy pacierzem, że wieczorny odpoczynek powierzamy Sercu Bożemu i Najświętszej Matce.

Ale nie o to „poczynanie” nam tu chodzi.

Chodzi o to, by: „chodząc po tej ziemi, głowę trzymać w Niebie” — jak to obrazowo i trafnie określił Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).

Chodzi o podniesienie trwałe naszej duszy ku Bogu.

Król-Prorok Dawid tak pojmuje modlitwę (porów. Psalm XXIV, 1), „podnosząc duszę do Boga”; — sam Pan Jezus również to miał na myśli, gdy żądał, by się „zawszy modlić i nigdy nie ustawać”.

Chodzi o to, by dusza nasza była stale przepromieniona obecnością Boga i Jego Łaską.

Na takim podłożu dopiero może być mowa o prawdziwej „Akcji Katolickiej” i o pełnym życiu katolickim, w którym modlitwa jest tem: czem **oddech** w życiu fizycznym i tem: czem **motor** w życiu technicznym.

Ileż razy przeżywamy w życiu naszym tę tragedję, że „robotą” nasza katolicka jakoś się „rwie” i „nie idzie...”

Chcesz, bracie kochany, lekarstwa na to niedomaganie?

Módl się, a wszystko „pójdzie” lepiej!

O. Henryk.

OBLÓCZYN

Gdy patrzymy na życie warszawskie, pełne ruchu i hałasu, wydaje nam się, że wszystkich bez wyjątku pochłaniają sprawy ziemskie, zabawy.

A jednak tak nie jest. Oto na Nowem Mieście, niedaleko szeroko płynącej Wisły, stoi przystań Boża, klasztor SS. Benedyktyn, ufundowany przez królową Marię Kazimierę, żonę Jana Sobieskiego, gdzie wybrane dusze pełnią służbę Bożą. Nam Polakom powinien ten klasztor być specjalnie drogi, ponieważ powstał jako nieustająca ofiara wdzięczności za ocalenie króla Jana Sobieskiego i chwałę oręża polskiego pod Wiedniem.

Zakon SS. Benedyktyn założyła we Francji podczas strasznej zawieruchy 30-letniej wojny Katarzyna de Bar (św. Mechtylda), by Zbawicielowi zadośćuczynić przez nieustającą adorację za zniewagi, doznane w czasie współczesnych jej walk i wojen religijnych. Dlatego też córki św. Benedykta noszą małą monstrancję na habicie jako oznakę nieustającej czci, oddawanej Eucharystji.

Jest to zakon ściśle kontemplacyjny. Modlą się Siostry dużo, bo to istota ich życia zakonnego, ich najważniejsze zadanie. Wstawają nawet w nocy, by od 2—4 odmawiać wspólnie brewjarz w czasie, gdy jesteśmy pogrążeni w głębokim śnie. Wiodą życie zamknięte, obowiązuje je klauzura, nie wychodzą nigdy poza żelazną bramę, którą wkroczyły do domu, z wyjątkiem 4 sióstr, przeznaczonych do załatwiania spraw najkonieczniejszych.

Pragnę, choć w krótkich zarysach, opisać śliczne ceremonie oblóczyn postulanki, która przeszła półroczny okres próby, by przestąpić progi nowicjatu, trwającego w owym klasztorze aż 5 lat.

Nadszedł dzień zaślubin Najśw. Marii Panny (23 stycznia), a zarazem tak gorąco przez nas oczekiwany dzień za-

ślubin naszej Siostry z Oblubieńcem Jezusem. Zaledwie opadły na ziemię cienie nocy, pojechaliśmy do klasztoru. Weszliśmy do rozmównicy, odgrodzonej od celi przyjęć podwójną żelazną kratą.

Po małej chwili otwierają się wewnętrzne drzwi i wchodzi Matka Przeorysza z Mistrzynią nowicjatu.

Prowadzą „pannę młodą”, ubraną w białą suknię i welon z wiankiem mirtowym na głowie. Ma więc na sobie jeszcze strój świecki, który za chwilę zamieni na zakonną.

Brat Siostry, kapłan, udziela w imieniu nieobecnych rodziców błogosławieństwa, a potem wszyscy zdążają do przyległego kościoła, złączonego chórem z domem zakonnym. Rodzina zajmuje miejsce w presbiterjum. Po stronie epistoły zauważamy zakratowaną ścianę, zaslonętą kotarą, która się wkrótce rozchyła.



W dzień oblóczyn.

Poprzez kraty widać chór obszerny, czyli salę, przeznaczoną dla Sióstr podczas modlitw. Tu w tym chórze spędzają Siostry większą część swego życia. Na środku chóru stoi wielka płonąca świeca, przy której klęczy Siostra, odbywająca 6-godzinną adorację, tak zwaną reparację, czyli adorację wynagradzającą. Przeprasza Jezusa w Najświętszym Sakramencie za wszystkie zniewagi i bluźnierstwa, wyrządzane Jezusowi w Eucharystji i klęczy przez 6 godzin. Wierzyć nam się wprost nie chce, że można aż 6 godzin klęczeć na modlitwie. A jednak pokorne, mało znane Siostry Benedyktynki, dokonują tego i rzecz znamienita — z największą radością i zadowoleniem. Rwią się do owej reparacji i, jak same przyznają, bez uszczerbku dla zdrowia. Widać, że to Bóg sam daje im siłę.

Oczy nasze padają na figurę Matki Bożej, która swoim płaszczem opiekuńczym nakrywa klasztor od 250 lat.

Gdy podziwiamy figurę i chór, cały skromny ale nastrojowy, dolatuje naraz do naszych uszu cudowny śpiew gregoriański. Mielśmy wrażenie, że to sam chór anielski z nieba rozpoczął swe



Obok: świąteczna procesja w kruzgankach klasztornych.

spiewy. Zaciekawieni wyteżamy wzrok i spostrzegamy Matkę Przełożoną, prowadzącą oblubienicę Bożą, która niesie na prawej ręce wielki krzyż. Wszystkie zaś Siostry kroczą ze świecami.

Na kościele rozlega się dzwonek — to kapłan wychodzi ze mszą św., chwila wzruszająca i uroczysta, bo mszę św. celebryje brat przyszłej nowicjuszki. Poleca ją gorąco Bogu.

Podczas mszy zbliża się Jezus do krat, w których są umieszczone małe drzwiczki, by wstąpić do serca tej, która całkowicie oddała się Panu, opuściwszy rodzinę i świat. Podczas mszy św. wykonywały pienia gregoriańskie siostry benedyktyнки.

Po mszy świętej ubiera się kapłan w białą, drogocenną kapę, przerobioną niegdyś z płaszcza Jana Sobieskiego, który nosił pod Wiedniem, intonuje przy ołtarzu *Veni Creator* i zbliża się potem do kraty. Zaczynają się właściwe ceremonie obłóczyn.

Kłeka młoda oblubienica w Chórze przed Matką Przeoryszą, która zapytuje postulantkę: „Czego żądasz?” a ta oświadcza uroczystym głosem wzruszonym, że pragnie poświęcić się Bogu jako ofiara Jezusa Chrystusa, oddawać cześć Najśw. Sakramentowi pod zachowaniem reguły św. Ojca Benedykta i prosi o habit. Matka Przełożona wyraża swoją zgodę. Następnie kapłan pyta jeszcze, czy postulanka trwa w swym zamiarze. Po tych ceremoniach podaje zakrystjanka-siostra na tacy habit, szkaplerz, pas i różaniec, które po poświęceniu przez kapłana wkłada M. Przełożona nowicjuszce, przycinając jej przedtem włosy. Znikają powoli białe szaty, które zakrywały nałożony, znika welon świecki i wianek i widzimy siostrę zakonną. Chór odśpiewuje podczas nakładania habitu piękne „Magnificat”.

Musiła to być chwila wielkiej radości dla młodej siostry, bo ujrzelśmy uśmiech na jej twarzy, uśmiech błęgiego szczęścia.

Po zupełnym ubraniu nowicjuszki przeprowadza Matka Mistrzynie nowicjuszkę przed kratę. Do klęczącej wówczas siostry wypowiada teraz celebrans te słowa: Ażebyś już więcej nie pamiętała o świecie, odmieniam ci imię Marii, które dotąd nosisz, na imię siostry Marii Anzelmy od go Poczęcia M. Panny. Jest to

więc chwila, w której siostra i cała rodzina dowiadują się, jakie imię wybrano dla nowicjuszki. To imię odtąd nosi w zakonie.

Po tym akcie odchodzi Siostra od krat, przystępuje do klęcznika, odbiera płonącą świecę i znosi ją w ofierze Matce Bożej, ksieni klasztoru. Prócz tego klęka przed M. Przełożoną, która jej mówi: „Moja córko, niech cię Bóg obdarzy Swoim pokojem, w imię którego przyjmuję cię”.

Następnie daje kolejno wszystkim Siostram pocałunek pokoju i wracając klęka przed celebransem za kratą.

Teraz wygłasza dawniejszy spowiednik siostry nowicjuszki słowo Boże, w którym wspomina o Bogu, który wybraną umiłował miłością odwieczną i pociągnął coraz silniej i bliżej ku sobie; podkreśla, że źródłem szczególnej radości dla Sióstr powinna być ta świadomość wpływu, jaki przez

swe modlitwy, adoracje i pokuty wywierają na losy świata, na bieg dziejów Kościoła, na nawracanie grzeszników. Kończy zaś kaznodzieja słowami pożegnania: „Żegnamy cię i oglądamy się za tobą bez smutku, gdyż tyś na prawdę najlepszą częstką obrała. Między nami a tobą nie będzie rozdziału. Krata z żelaza nie rozłącza dusz. Choć dzielić nas będzie przestrzeń i mury tego klasztoru i ta krata, my tem więcej odczuwać będziemy łączność z tobą i wpływ twych modlitw, im bliższą będziesz teraz Bogu.”

Wszystkich bez wyjątku podniosły na duchu słowa przemawiającego kapłana.

Na zakończenie odśpiewał jeszcze celebrans wiersze i modlitwy różne, prosząc Boga, by raczył pobłogosławić nowicjuszkę, której nałożył codopiero habit, by Mu wiernie i wytrwale służyła, by sprawiedliwie i pobożnie żyła.

Po raz ostatni pobłogosławił kapłan nowicjuszkę i wszy-

O b o k : Niech Cię Bóg obdarzy pokojem...



skie inne Siostry i odszedł do zakrystji.

Ceremonje obłóczyn skończone, wszyscy przepełnieni duchem nadprzyrodzonym, ale najwięcej szczęśliwa nowicjuszka, przekonana, że teraz jeszcze wierniej i chętniej służyć będzie Temu, dla którego poświęciła wszystko, co drogie jej było na ziemi, rodziców,



Z życia ka-

Podniosłe uroczystości w Szczepanowie. Trwające przez szereg dni wielkie uroczystości religijne z okazji 900-lecia urodzin św. Stanisława, męczennika, we wtorek 5-go maja osiągnęły

swój punkt szczytowy. W dniu tym koło godz. 10 rano przyjechał do Szczepanowa JEm. Ks. Kardynał Prymas Hlond. Na powitanie Jego Eminencji w Krakowie przybyli na dworzec p. wojewoda krakowski Gnoiński, p. wicewojewoda dr. Małszyński i radca Stankowski, którzy udali się następnie wraz z Ks. Prymasem w dalszą drogę do Szczepanowa. W imieniu miasta Krakowa powitał Ks. Prymasa p. prez. Kaplicki. Od stacji kolejowej Słotwina-Brzesko każda wieś wzniosła dla uczczenia Ks. Kardynała po kilka bram triumfalnych. Domy wzdłuż całej drogi przejazdu ozdobiono flagami papieskimi i narodowymi oraz girlandami kwieciami i zieleni. Ks. Kardynał jechał eskortowany przez banderę konnych wieśniaków.

Ks. Prymas po krótkich modłach udał się na czele procesji do ołtarza polowego z relikwią św. Stanisława, gdzie odprawił sumę pontyfikalną. W nabożeństwie wzięli udział Ich Eksk. Księża Biskupi Lisowski, Barda, Komar i Rospond.

Kazanie do olbrzymiej rzeszy wiernych, liczącej około 50 tys. osób, wygłosił JE. Ks. Biskup Komar. Myślą przewodnią kazania było wezwanie do konsekwentnego, świadomego swych celów czynu katolickiego. „Katolicy! — wołał dostojny kaznodzieja. — Powinniśmy wyjść z uśpienia, ocnać się z powierzchownej pobożności i stanąć ramie przy ramieniu, serce przy sercu, głowa przy głowie. Czemu macie dwa sumienia, katolicy? Mieście odwagę być katolikami w czynie, abyście wypełnili wolę Bożą, wolę Tego, który powiedział: Oto jestem z wami po wszystkie dni żywota. Burza przemienie i Chrystus zwycięży.”

W czasie kazania nad rozległym polem i zasluchanymi tłumami wiernych przeleciało w sprawnym szyku sześć aeroplanów.

Po nabożeństwie Ks. Prymas w towarzystwie Księża Biskupów i p. wojewody Gnoińskiego przyjął defiladę kilkudziesięciu oddziałów Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży męskiej i żeńskiej.

Uroczystościom sprzyjała piękna, słoneczna pogoda. Wśród rzesz patniczych znajdowały się kompanje, które przybyły

pieszo z oddalonych o kilkadziesiąt kilometrów wsi małopolskich. Lud chciał złożyć hołd świętemu Męczennikowi i ujrzeć w czasie tych niezwykłych dni miejscowość, która żyje tradycją swego świętego Syna. Uroczystości, które trwały jeszcze do soboty 9-go maja z udziałem Księża Biskupów, odbywały się w podniosłej, wzruszającej atmosferze entuzjizmu i żarliwej pobożności. Relikwie św. Stanisława, które w dniu 4-ym maja przy-



Nowy biskup i administrator apostolski w Sandomierzu.

Papież Pius XI zamianował administratorem apostolskim diecezji sandomierskiej ks. superjora Jana Lorka, dotychczasowego proboszcza parafji św. Krzyża w Warszawie. Jednocześnie Ojciec św. wyniósł ks. Jana Lorka do godności biskupiej, mianując go biskupem tytularnym Modra (w Bitynji).

Ks. Biskup-nominat, superjor Zgromadzenia Księża Misjonarzy w Warszawie i proboszcz parafji św. Krzyża urodził się na Śląsku w 1886 r. Wyświęcony na kapłana w 1911 r. zostaje przydzielony do Zakładu im. Ks. Siemiaszki dla biednych i osieroconych chłopców w Krakowie. W ciągu dziewiętnastoletniej działalności w tym zakładzie, wznosi nakładem niezwyklej pracowitości nowoczesny gmach dla 300 biednych chłopców. W latach wojennych bierze czynny udział w przygotowaniu plebiscytu na Górnym Śląsku. „Ze zasługi na polu społecznym otrzymuje krzyż Polonia Restituta. Lata powojenne spędza na pracy duszpasterskiej w Niemczech, odwiedzając i pracując wśród naszych emigrantów. W kilka lat później prowadzi misję na Podlasie, skąd w 1930 r. przechodzi do parafji św. Krzyża w Warszawie.

Redakcja Przewodnika Katolickiego zasyła J. Eks. ks. biskupowi Nominatowi najserdeczniejsze życzenia najobfitszych łask Bożych w dalszej owocnej pracy nad dobrem Kościoła i wiernych.

rodzeństwo i tyle innych kochanych osób.

T. M.

Do obrazka obok:

Za oknem tego chóru znajduje się kościół P. P. Sakramentek w Warszawie.

Tu, w tym chórze spędzają siostry większą część swego życia. W środku chóru stoi wielka świeca, przy której...

tolickiego

wiozł JE. Ks. Arcybiskup Metropolita Sapięha, pozostali w Szczepanowie przez cały czas trwania nabożeństw.

W powrotnej drodze ze Szczepanowa Ks. Kardynał Prymas zatrzymał się w Bochni, gdzie miejscowe społeczeństwo zgótowało mu serdeczne i uroczyste powitanie.

Półtora miliona dzieci. W szkolnictwie polskim jest źle. W roku 1935/36 dzięki niemądrej ustawie doszliśmy do tego, że około półtora miliona dzieci jest pozabawionych szkoły. Każdy rozsądny obywatel przyzna, że budowanie luksusowych gmachów szkolnych, gdy brak pieniędzy na dostateczną ilość skromnych lokali szkolnych jest absurdem, z którym jak najprędzej trzeba skończyć.

Każde polskie dziecko ma prawo do nauki. Trzeba tak zorganizować sieć szkolną, by nie było dziecka polskiego, któreby dla braku szkoły nie mogło się nauczyć choćby pisania i czytania. Takich dzieci niestety jest w Polsce dziś około półtora miliona.

Chcąc przyjąć z pomocą państwu, grono po obywatelsku myślących ludzi, szczerze zatroskanych o przyszłość narodu, chciałoby wszędzie tam, gdzie dotąd dzieci nie uczęszczają do żadnej szkoły państwowej, ze źródeł prywatnych otworzyć szkoły prywatne, by dzieci takie mogły się nauczyć przynajmniej „sztuki pisania i czytania”. Pomogłoby się w ten sposób także samym nauczycielom, których bez pracy jest w Polsce około 15 tysięcy. Znaleźliby narazie choć skromne utrzymanie i nie potrzebowaliby cierpieć głodu.

Trudno zaiste pojąć, że znalazł się w Polsce ktoś, co z tych niezwykle szlachetnych zamiarów srodze jest niezadowolony. Oto pismo radykalnego Związku Nauczycielstwa Polskiego (skupiającego nietylko nauczycieli Polaków, ale także żydów), nie chce tych szkół. Widocznie woli, aby dzieci polskie wzrastały w ciemnocie, i bolesne skutki analfabetyzmu nosiły za sobą przez całe życie. Dlatego bije w numerze z 3 bm. na alarm i wzywa do najenergiczniejszego przeciwstawienia się tym szlachetnym planom. Dlaczego? Bo nie chce, by szkoła prywatna dostała się w ręce — jak piszą — „reakcji społecznej” i obawia się, że radykali związkowcy nie będą mieli wpływu na nią.

Pp. dygnitarze związkowi nie życzą sobie, aby ich koledzy-nauczyciele, zostający

(Dokończenie na str. 328)



du z Rosją Somo-
nocy z Łotwą, od

Na rysunku za-
nocne granice Pol-
w którym Działynski
granicznej Dziwny-
Działynski. Poniżej, w ogromnym pomniejszeniu,
obszar Polski. Strzałka wskazuje położenie
działynskiego powiatu.

Na krańcu Polski, u samego ujścia
Dziwny, nie wiem dlaczego pospo-
licie nazywanej Dziśienką, rozłożyło się
długo i szeroko, jeszcze przed wojną
ludne, a nawet bogate miasto powia-
towe Działynski, jak na nasze stosunki,
niemałe, bo liczące około 15 000 miesz-
kańców. Miało ono urzędy powiatowe,
sąd pokoju, tak zwany „Zjazd Sędziów
Pokoju”, rodzaj wyższej instancji od-
woławczej, szkołę powiatową, parę szkół
początkowych i wielką liczbę ży-
dów-kupców. Wszystko to, oczywiście
mocno rosyjskie, a przedewszystkiem
z całą zaciekłością rusyfikujące. Wła-
dze rosyjskie wiedziały, co robią. Za
wiele pamiątek polskich, jeżeli nie
wizualnych, to w sercu tkwiących i z po-
kolenia na pokolenie przekazanych, słu-
sznie mogło niepokoić najeźdźców.

„Przewodnik” u nas jest dobrze zna-
ny, lecz nas zna zapewne mało kto

STATNI NA PÓŁNOCY POWIAT RZECZYPOSPOLITEJ

z czytelników „Przewodnika”. Jesteśmy
zarzuceni, zapomnieni, chociaż mieszkamy
w pięknym i nawet w bogatym
dość kraju. Część bowiem powiatu
działynskiego (Działynski) słynie ze swej
urodzajności, jako wileńska Ukraina.

Działynski obecna przeniesiona została
na lewy brzeg rzeki Dziwny (Dziśienki)
w 1563 roku przez starostę Borko-
Korsaka, po utracie Połocka. W parę
lat potem ufortyfikowana, wyniesiona
została do rzędu miast przez Zygmunta
Augusta dnia 28 lutego 1567 a w roku
1569 otrzymała prawo magdeburskie
i herb (trzy wieże, wystające z muru).
Król Stefan Batory uczynił Dziśnię
miejszem koncentracyjnym dla wojska.
Dnia 4 sierpnia 1579 roku tu potwier-
dził lenność na Kurlandję Gotardowi
Kettlerowi, który wobec całego wojska,
obozującego w Dziśnie, złożył przysięgę
wierności, jako lennik. Wogóle król Stefan
bawił w Dziśnię kilka razy. Dnia 1 do
14 lipca 1611 roku bawił tu król Zygmunt
III i przyjmował w sposób uroczysty
przysięgę 230 bojarów moskiewskich.

Ma też Działynski i swoje bojowe wspo-
mnienia i pamiątki klęsk okupacji
jeszcze za dawnych czasów. 25 lipca
1654 r. zajęli ją Moskale, w dwa lata
później obozował tu Aleksy Michajłowicz
(drugi Romanow), car rosyjski,
w wyprawie wojennej na Rygę. Odtąd
zagnieździł się tu Moskal na dobre
kilka lat. Przy zbliżaniu się jednak Ste-
fana Czarnieckiego, mieszczanie dziśni-
scy wymordowali całą załogę moskiew-
ską, a burmistrza, narzuconego przez oku-
pantów, powiesili na bramie miejskiej.

Dziśnię zamieszkiwała niemal całko-
wicie ludność miejscowa, w znacznej
większości polska i katolicka, należąca
częściowo do obrządku wschodniego.
Od Zygmunta Augusta aż do Augu-
sta III obowiązywały tu dekrety, zakazu-
jące mieszkania żydom. Czasem tylko na
majętnościach podmiejskich, należących

do szlachty, zamieszkiwał jeden, drugi fak-
tor, albo drobny handlarz czy też lichwiarz,
udzielający pożyczek na wysoki procent.

Działynski miała dwa kościoły: XX. Je-
zuitów, drewniany, pochodzący z 1583
roku, fundowany przez króla Stefana
i OO. Franciszkanów, fundowany przez
Krzysztofa Malkiewicza-Chełchowskiego,
ziemianina województwa połockiego. W r.
1700, dnia 13 lipca Działynski doszczętnie się
spaliła; uległ też pożarowi i kościół
Franciszkanów, wkrótce jednak został
doprowadzony do pierwotnego stanu.



Front parafialnego kościoła w Dziśnie. W mu-
rach jego po dziś dzień tkwią armatnie pociski
z 1831 r.

Dnia 26 stycznia 1831 roku wybuchło
w okolicach Dziśny powstanie. Ks. Adam
Tatura, Pijar z Łużek, zorganizował
partię z 6 tys. ludzi, która pod dowództ-
wem Wilhelma Łopacińskiego zajęła
Dziśnię i Lepel. Przez pewien czas
partja dzielnie się trzymała w Dziśnie,
mimo znacznych sił moskiewskich, które,
obawiając się przejścia przez
Dziwnę, ostrzeliwały polski od-
dział w Dziśnie. Od czasów tej
walki tkwią do dnia dzisiejszego
pociski armatnie w murach ko-
ścioła franciszkańskiego, a obec-
nie parafialnego. W roku 1863,
w okolicach Dziśny również była
znaczną ruchawka, stłumiona
krwawo przez wojska zaborcze.
Do dnia dzisiejszego, ku wielkiej
hańbie, stoi nad brzegiem Dziwny
kapliczka moskiewska na pa-
miątkę „uśmierzenia powstania
polskiego”.

Grób z pewnością jakiegoś nieznanego
z imienia polskiego żołnierza, krzyż
i słup graniczny mówią, że tu kończy
się Polska. Aż wierzyć się nie chce,
ażby ta cienista aleja nad Dziwną była
już obca. W głębi, po drugiej stronie
rzeki, zamknięta dziś przez bolszewików
cerkiew. Przed laty miejsce, na które
stoi, było przedmieściem Dziśny.



Tych wspomnień tak się bali Moskale za swego panowania i dlatego kładli tak silny nacisk, by wszelkie pamiątki polskie niszczyć, albo nadawać im charakter czysto rosyjski. To też obecne miasto Dżisna do dnia dzisiejszego ma wygląd czysto rosyjski. Domy bardzo przypominają małomiasteczkowe budowle rosyjskie, o przysadzistych kształtach, z ciężkimi ozdobami drzwi, okien, ganeczków, o ciemnożółtej więziennej barwie ścian, lub chłodnych śnieżnych ścianach małych parterowych domków z niebieskimi dawniej okiennicami.

Obecna Dżisna całkiem niszczeje. Zamarł wszelki ruch, ustał handel, ludność zmniejszyła się do 4 tysięcy. Wiele domów dotychczas stoi w ruinie, bez drzwi i okien, całe dzielnice opustoszały, a ludne dawniej ulice porosły trawą. Pięknie położony park miejski nad Dźwiną, z widokiem na wyspę Batorową i na brzeg sowiecki, ma jedną

zaledwo alejkę utrzymywaną jakotako porządnie. Tylko kiedy niekiedy można napotkać w nim spacerowicza lub grupkę bawiącej się dziatwy. Prawda, jest to graniczna nasza mieścina, sąsiadująca ze Sowietami, które jeżeli wogóle pociągają naszą ciekawość, to tylko tajemnicą meczarni podbitych w niewolę ludów.

Jedynym znakiem i wspomnieniem dawnych lepszych czasów, nawet z niewoli rosyjskiej, jest kościół pofranciszkański, który obecnie jest parafjalnym.

Podniszczony zębem czasu i przejściami wojennymi, ten kościół-rycerz, który w swej piersi do dnia dzisiejszego nosi wraże pociski, kościół-strażnica na rubieży już nietylko Polski, ale całego świata cywilizowanego, bo tuż, około 100 kroków, brzegi Dźwiny, za którą zaczyna się kraina panowania antychrysta. Za Dźwiną mieszka ten sam lud, jak i po tej stronie, i często spogląda na krzyż, panujący nad mu-

rami świątyni i miastem, i pokryjomu zasyła modły do Boga, którego nie wolno mu wzywać otwarcie. Obecny proboszcz dzisieński, ks. Jan Romejko, wkrótce po objęciu probostwa, z całą młodzieńczą energią, rozpoczął pracę nad odnowieniem swej pięknej i zabytkowej świątyni. Nie idzie to łatwo, bo miasto zubożało, a ludność wiejska parafji dzisieńskiej również nie opływa w dostatki i niezbyt liczna.

Zeszłego lata spotkałem w Dziśnie letników aż z pod Warszawy; byli zachwyceni klimatem i spokojem miejscowości. Być może, gdy przeprowadzą kolej, o czym już się mówi, Dziśna zacznie ściągać do siebie turystów i mieszkańców naszego Zachodu. Warto tu przyjechać i poznać okolice, a zwłaszcza piękną drogę z Dziśny do Prozorek, o której może czasami pomówimy.

H. J.

Ten numer 32 strony — przyszły numer kolorowy — potem WIELKI NUMER ZIELONOŚWIĄTECZNY kolorowy. Ze względu na rozpoczynającą się powieść prosimy Przewielebnych Księży Proboszczów o gorące słowo z ambony.

(Patrz strony 134 i 135 dodatku powieściowego „Moje wspomnienia“)

Wszędzie jest maj — ale nie wszędzie kwitną bzy

Mnogie zastępy poetów wysławiały w niezliczonych pieśniach urodę maja, w którym według ich zdania „wszędzie“ kwitną drzewa i zioła, „cała przyroda“ budzi się ze snu zimowego, „wszystkie pączki“ rozchylają łuski, „cała ziemia“ stroi się w szatę wiosenną.

Ale poeci, mówiąc o „całej ziemi“, okrytej majowem kwieciami, przesadzają bardziej niż zwykle. Nie cała bowiem ziemia, lecz zaledwie drobny jej wycinek przeżywa obecnie majowe rozkosze — bo gdy u nas mamy wiosnę, na południowej półkuli naszej ziemi panuje jesień.

Jakże się to dzieje? Ustawcie lampę na wysokości głowy w środku pokoju i stańcie twarzą ku światłu. Pomyślcie sobie teraz, że lampa jest słońcem, a głowa — kulą ziemską. Czubek głowy niech będzie biegunem północnym, broda południowym; łącząca je linia niech przedstawia oś ziemską. „Dobrze — odpowiedź — ale skoro trzymamy głowę prosto, to linia od brody do czubka głowy stoi nie prosto, ale skośnie! Czubek-biegun północny znajduje się w cieniu, a broda-biegun południowy zwrócona ku światłu!“ Stusznie, ale tak samo skośnie stoi oś i u prawdziwej kuli ziemskiej, i kiedy u nas jest zima, biegun północny pogrążony jest tak samo przez całe pół roku w ciemności. A teraz przejdźcie na przeciwną stronę lampy, ale nie zmieniając położenia głowy (patrz na obrazek z lampą). Teraz lampa-słońce oświecila „biegun północny“ głowy.

Zupełnie taksamo zachowuje się ziemia. Na obrazku, przedstawiającym po-

łożenie kuli ziemskiej względem słońca, spostrzegamy, że lato mamy wtedy, gdy ziemia jest nachylona ku słońcu półkulą północną, na której Polska się znajduje. Równocześnie południową półkulę oświecila słońce skąpemi, bo ukośnie padającymi promieniami, wobec czego na południowej półkuli panuje zima. Odwrotnie w zimie (lewa strona rysunku) — my mamy zimę, a południowa półkula lato. Różnicę w działaniu promieni skośnych i pionowych znamy doskonale z codziennego doświadczenia — słońce najsilniej grzeje w południe, gdy najwyżej stoi na niebie.

Pomyślimy sobie teraz, jakby wyglądało na ziemi, gdyby tego nachylenia osi nie było. Oto słońce prażyłoby przez cały rok równik, zamieniając środkowy pas ziemi w martwą pustynię. Ziemi do-

koła biegunów, nie nawiedzane raz do roku topiącym śniegiem latem, pokryłyby się wiecznym śniegiem. Życie mogłoby istnieć tylko w wąskim pasie między gorącą a mrozną pustynią.

Widzimy więc, że pozorne „skrzywienie“ osi jest w istocie mądrym i celowym urządzeniem, umożliwiającem istnienie milionom ludzi tam, gdzie w przeciwnym razie rozciągałyby się palone słońcem, lub chłostane śniegiem zamarte pustynie.



ZIMA
godz. 12-ta w poł.

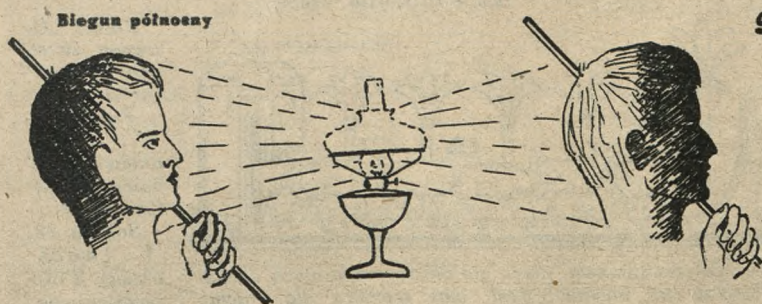
W miejscu, gdzie słońce świeci pionowo, ludzie w południe nie mają wcale cienia —

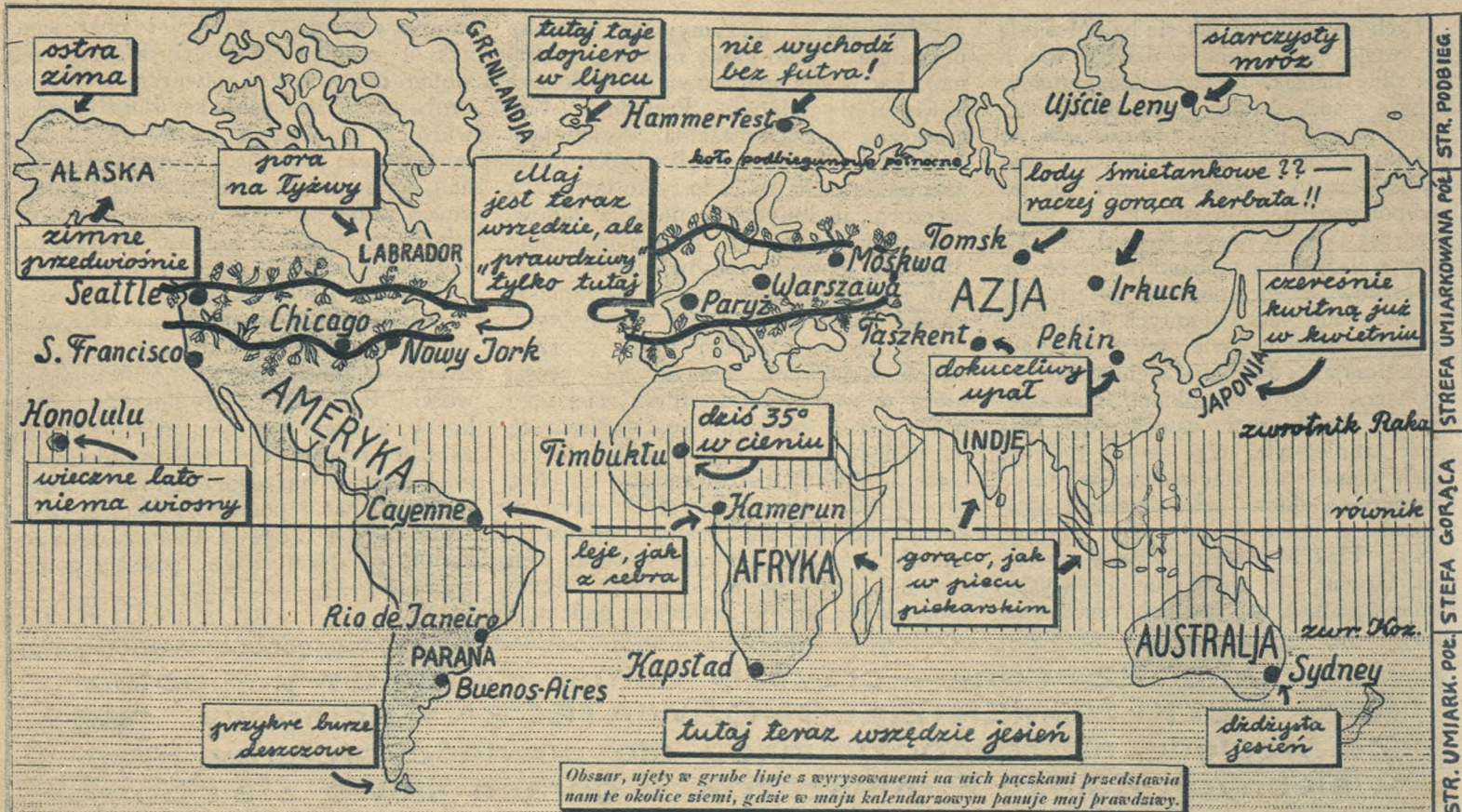
LATO
godz. 12-ta w poł.

cień szerokiego ronda kapelusza tworzy pod nogami ciemne koło, w środku którego człowiek stoi.

Dzień równy nocy mamy 21-go marca i 23 września, gdy słońce świeci na równiku.

Czy wszędzie tak się zmienia długość dnia jak u nas? Wcale nie. Na równiku dzień jest zawsze równy nocy; stąd nazwa „równik“. A na biegunach? Na rysunku widać, że w zimie „nasz“ biegun północny pogrążony





jest stale w ciemności. Miejscowości położone blisko niego (na północ od koła podbiegunowego północnego) nie wychodzą wcale podczas dziennego obrotu ziemi dokoła swej osi na światło słońca. Noc więc trwa tam całą dobę! Taką noc podbiegunowa trwa krócej lub dłużej, zależnie od odległości danej miejscowości od bieguna. Blisko bieguna noc trwa prawie pół roku! Spojrzawszy na drugą stronę rysunku, od razu odgadniemy, że naodwrot w lecie dzień trwa pod biegunem także pół roku. Słońce wcale nie zachodzi — widać je przez całą dobę: w „dzień” wyżej nad horyzon-

tem, w „nocy” nisko. Ludzie śpią kiedy chcą i kiedy chcą pracują.

W krajach położonych nieco na południe od koła podbiegunowego, słońce w nocy znika pod horyzontem, ale jest prawie jasno (jak u nas zaraz po zachodzie słońca). Wskutek tego np. w Szwecji i Norwegii środkowej niema zbyt wyraźnej różnicy między dniem i nocą. Ludzie chodzą sobie w nocy na spacer, dzieci bawią się w piasku i t. d. Tuż poniżej koła podbiegunowego nie widać słońca w nocy, ale można je zobaczyć, wychodząc na jakąś wysoką górę.

Tak samo zdziwiłby się np. murzyn

ze środkowej Afryki, ujrawszy nasz zachód słońca i trwający przez godzinę zmrok — u nich, na równiku, już w kilka minut po zachodzie słońca czarna noc obejmuje ziemię, i biada temu, kogo zaskoczy niespodzianie w dziewiczej puszczy, zdala od domu. Tam trzeba bardzo pilnie zważać na ruch słońca.

A teraz przyjrzyjmy się na zakończenie mapie, na której wypisano, jaka pogoda panuje w maju w różnych punktach ziemi.

Obszar, ujęty w grube linie z wyrysowanymi na nich pączkami kwiatów przedstawia nam te okolice ziemi, gdzie w maju kalendarzowym panuje maj prawdziwy.

Liturgia jest modlitwą w imię Chrystusa

Niedziela, 17. V.: *V niedziela po Wielkiejnocy. Dzisiejsza niedziela jest ostatnią przed uroczystością Wniebowstąpienia Pańskiego, dlatego zachęca nas dzisiaj Kościół do gorącej modlitwy, której treść zabierze Chrystus za 4 dni ze Sobą do nieba i przedstawi ją Swemu miłociwemu Ojcu niebieskiemu: „O cokolwiek prosić będziemie Ojca mego w imię moje, da wam.” — Wspomnienie św. Paschalisa.*

Poniedziałek, 16. V.: Dzisiaj 2 różne nabożeństwa, t. zw. *Litania mniejsza* i św. *Wenancjusza M.*

Litanja mniejsza. Wnet odejdzie Chrystus zmarweychstały od nas i pójdzie na zawsze do Ojca Swego niebieskiego, aby tam za nami orędownać! „My biedne dzieci Ewy, jęczące i płaczące na tym lez padole“, mamy Mu przed Jego odejściem w zaślaity przedłożyć wszystkie swe prosby i błagania. Aby nam dopomóc w tej dla nas tak ważnej sprawie, urzędza Kościół t. zw. litanje, (właściwie bytoby nazywać tę modlitwę litanjami anizeli litanją) nazywając ją w odróżnieniu od litanji, którą odprawia z racji powrotu wiosny dnia 25 kwietnia, litanją mniejszą. Takie nabożeństwa odprawiały się dawniej w Rzymie częściej, a mianowicie w każdą większą uroczystość, w każdy dzień Wielkiego Postu, w dni kwartalne i w dni, które w Polsce nazywają się krzyżowami. Było ich razem w całym roku kościelnym aż 89 i nazywały się stacjami (stations).

ni gromadzili się w pewnym kościele, a potem śpiewając litanję do Wszystkich Św., szli w procesji do t. zw. kościoła stacyjnego, gdzie odprawiała się msza św. i wygłaszano dłuższe kazanie. Po odprawionem tamże nabożeństwie wracano do kościoła, z którego się wyszło. Dzisiaj z tych licznych a poważnych nabożeństw pozostały tylko 4, a mianowicie dnia 25 kwietnia, w poniedziałek, wtorek i środę przed Wniebowstąpieniem Pańskim.

Wtorek, 19. V.: Litanja mniejsza i św. Piotra Celestyna Pap. i Wyzn. Był pustelnikiem, który założył zakon t. zw. Celestynów. Został wybrany na papieża mimo oporu ze swej strony, ponieważ kardynałowie nie mogli się zgodzić co do kandydata na namiestnika Chrystusowego, a konklawe trwało już blisko 2 lata. Uznawszy się jednak niezadowolnym do pełnienia obowiązków tak trudnego stanowiska, rzekł się dobrowolnie papieskiej godności, „przenosząc pokorę nad to wywyższenie”. A więc można być bardzo świętobliwym, a jednak niezadowolnym do piastowania wysokiego urzędu. — Wspom. św. Pudencjanny Dziew.

Środa, 20. V.: Litanja mniejsza, Wigilja Wniebowstąpienia Pańskiego i św. Bernardyna Sieneńskiego Wyzn.



„A żaden z was niechaj nie cierpi jako męzobójca, albo złodziej, albo złomowca, albo jako cudzego pragnący. Lecz jeśli cierpi jako chrześcijanin, t. j. dlatego, że

jest chrześcijaninem, niech się nie sroma, a niech chwali Boga w tem imieniu. Jeśli was sromocą dla imienia Chrystusowego, błogosławieni będziecie. Św. Piotr I. 4.

W lekcji dzisiejszej mszy św. wigilijnej słyszymy, że Pan Jezus, wstąpiwszy do nieba, zysła stamtąd Ducha Św. i rozdziela łaski, urzędy, obowiązki i powołania. Ewangelja zaś św. przedstawia nam Chrystusa jakby stojącego przed bramą niebios i proszącego o wejście do nich jako wynagrodzenie za wykonanie zlecenia Jemu danego przez Ojca. Św. Bernardyn z Sieny, od którego Bernardyni wywodzą swą nazwę, jest jednym z największych apostołów Włoch, który z Najświętszym imieniem Jezus na ustach gromił z całą otwartością bez względu na osoby i miejsca zgorzsenia, które za jego czasów panowały w tym kraju. Oddał swą dla Jezusa gorącą duszę Bogu 20. V. 1444 r. w Akwila, gdzie mu się ukazał krótko przed jego śmiercią św. Piotr Celestyn, którego pamiątkę wczoraj Kościół obchodził.

Czwartek, 21. V.: Wniebowstąpienie Pańskie z oktawą. Dwie prawdy dogmatyczne przypomina nam dzisiejsza uroczystość: 1) że Jezus siedzi po prawicy Boga Ojca, 2) że my zostaliśmy równocześnie podniesieni do uczestnictwa w naturze bożej, o czym zresztą mówi wyraźnie dzisiejsza prefacja.

Pieśń: „O-
toczon świat-
nem gronem“
(nr. 120).

Piątek, 22.
V.: wśród
oktawy Wnie-
bowstąpienia
Pańskiego.

Sobota, 23,
V.: wśród
oktawy Wnie-
bowstąpienia
Pańskiego.

STANISŁAW R. HENNIG

POGANKA Z WYSPY POD WIATREM

16)

Powieść

I wierni, zgromadzeni w kościele katolickim w Los Angeles ujrzeli dziwną czwórkę. Olbrzymi Al, górujący wzrostem nad wszystkimi, pouczał towarzyszy, jak mają się zachować w Domu Bożym i sam modlił się żarliwie, wspominając ze wstydem pijaństwo, jakiemu się oddawał, i bił się w piersi, aż echo grzmiało.

Trójka pogan przypatrywała się z podziwem kościołowi, światłom, obrazom i ołtarzom, a głęboki i poważny głos organów napełnił ich dusze dziwnym uczuciem błogości i spokoju.

A gdy z chóru rozległ się przepiękny śpiew, Li Lea chwyciła Ala kurczowo za rękę.

— Małpeczko, to chyba aniołki śpiewają? Li Lea chciałaby umrzeć z zachwytu! O, teraz Li Lea poznała prawdziwego Boga i chciałaby polecieć tam, wysoko, do Jego stóp i płakać ze szczęścia!

Harold stał zamyślony i poważny, przejęty do głębi dziwną atmosferą kościoła, a Johnson odgrzebał w pamięci pacierze, których uczyła go matka i szeptał je cicho, a nos mu poczerwieniał ze wzruszenia.

Po skończonym nabożeństwie, gdy kościół zaczął się opróżniać, Al zaprowadził ich do ołtarza Matki Boskiej i przykląkł.

— Tu, przed naszą Matką poproście, o co chcecie, a będziecie wysłuchani — szepnął.

Li Lea uklekła na stopniach i wpatrując się załzawionymi oczami w białą posąg Niepokalanej, złożyła rączki i gorąco modliła się, tak szczerze i naiwnie, jak szczerą i naiwną miała duszyczkę.

— O Boża Mateczko, zrób, żeby Li Lea kochała Cię całym sercem i żeby umiała się modlić z książeczki i żeby prędko była ochrzczona, bo bardzo chce być chrześcijanką. Li Lea bardzo przeprasza Bożą Mateczkę i Boże Jagniątko, że tyle czasu była ciemna i głupia i kłaniała się drewnianym bożkom, ale Li Lea nie знаła prawdy. I zrób, dobra Mateczko, żeby śliczny pan także modlił się do Ciebie i żeby pokochał Li Leę, bo Li Lea kocha go serdecznie. I żeby był zawsze szczęśliwy i miał wszystko, co mu potrzeba, a Li Lea żeby wróciła na wyspę pod wiatrem, ale razem ze ślicznym panem. I daj także, Boża Mateczko, żeby małpeczka znalazł swego tatusia, i żeby pomarszczony staruszek został in... intendentem. I jeszcze żeby prosiątko chowało się zdrowo i szczęśliwie, a cielątko także, bo małpeczka kocha je bardzo. Wiem, Boża Mateczko, że Li Lea jest bardzo zła i bardzo głupia, ale Ty ją wysłuchasz, bo jesteś dobrotliwą Mateczką białych i kolorowych ludzi.

Harold nie mógł powstrzymać uśmiechu, lecz i wzruszenie ogarnęło go, gdy słyszał tę naiwną modlitwę, wypowiedzianą półgłosem.

Pobyt w kościele wywarł wrażenie i na nim, gdyż po wyjściu ze świątyni, rzekł do Ala:

— Dziękuję wam, stary, że daliście mi poznać kościół katolicki. Kto wie, może w tem coś i jest, może i ja zapiszę się do katolików? Przyznaję, że odniosłem potężne wrażenie. Musicie mi coś bliżej opowiedzieć o tych sprawach.

Brodaty Al podniósł w górę oczy i westchnął z głębi serca.

— Nikt tego jeszcze nie żałował, panie Haroldzie! Będę naprawdę szczęśliwy, gdy wejdzie pan na drogę do zbawienia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wieczorem Harold zabrał całą swoją kompanię do miejscowego parku zabaw.

Tam jakiś tegi, spocony pan, o różowitkiej twarzy i siwych włosach, widniejących spod kapelusza, zawadzał na nałożonego na bakier, chwycił go za rękaw.

— Hallo, Haroldzie! Cóż to za księżniczka ci towarzyszy? Co za oczy! Co za nóżki! Muszę ją koniecznie zaangażować do rewii — wołał, żując niedopałek cygara.

— Hallo, Bigford! Jak się masz, stary? — ucieszył się Harold, witając popularnego dyrektora teatru rewii. — Pytasz o Li Leę? A wiesz, że zgadłeś, to rzeczywiście księżniczka z wysp Tawaryskich. Chcesz ją zaangażować? Dobrze, ale i mnie także.

— Ciebie? Wiesz, że to nawet nie była myśl? Miljoner Harold Oven w teatrze rewii! Umiesz co tańczyć, albo deklamować?

— O tak, pięknie śpiewam romanse i clikwie piosenki, a Li Lea ślicznie tańczy. Chodź, to cię przedstawię księżniczce.

I pociągnawszy starszego pana ku tancerce, rzekł:

— Li Lea, ten pan chce cię poznać i pragnie, żebyś tańczyła u niego w teatrze — wyjaśnił Harold, śmiejąc się. — Li Lea przecież umie tańczyć

— Li Lea nie pójdzie bez ślicznego pana!

— Rozumie się, że ja także będę występował w teatrze — tłumaczył Harold.

— I małpeczka także? — ucieszyła się tancerka. — Huh, to doskonale!

— Małpeczka? Jaka małpeczka?

— To Al, brodaty Al, nasz przyjaciel — wyjaśnił młody człowiek. — Al, zbliżcie się.

Dyrektor spojrział z podziwem na brodacza.

— Co za typ! Ale i on się przyda. Mam myśl! To zdaje się silny chłop i on będzie wnosil panienkę na scenę. Będzie kapłanem bogini Kuli i wniesie panienkę przed jej ołtarz.

— Nie mogę, panie — potrząsnął głową Al. — Za nic!

— A to czemu? — zdziwił się dyrektor.

— Bo jestem katolikiem i za żadne pieniądze nie zmienię wyznania!

— Do licha! Gdzie ty wykopał takiego cudaka, Haroldzie? — roześmiał się Bigford, gryząc zacięcie niedopałek cygara, sterczący mu w kąciku ust. — Przecież nie musicie zmieniać religii. To tylko w teatrze! Ubierzecie się co wieczór w kostjum hinduskiego kapłana i wniesiecie na scenę pannę Li Leę na ofiarę bogini Kali, a arcykapłan zbliży się do niej z nożem, aby jej wydrzeć serce.

— Kości mu połamię, zanim tknie panienkę! — warknął Al, okropnie zgrzytając zębami.

— Ale to także na niby! Ona zacznie tańczyć tak pięknie, że sama bogini Kali będzie wzruszona i daruje jej życie.

— To chyba, że tak — rozchmurzył się Al. — Ale czy to wypada katolikowi uczestniczyć w takiej pogańskiej ceremonii? Może to grzech?

— Ależ, małpeczko, jaki małpeczka dziecinny — tłumaczyła Li Lea bardziej obeznana ze sztuką i występami. — To tylko na niby, dla publiczności będziemy odgrywać komedię. Publiczność będzie siedziała kołem i patrzyła, a potem będzie biła oklaski, tak jak w cyrku.

— No, skoro tak, to już niech będzie — zgodził się wreszcie Al.

— To przyjdzie wszyscy razem, jutro o dwunastej, do mojego teatru, na próbę. Tylko napewno! — rzekł dyrektor, ściskając im ręce.

Na drugi dzień o dwunastej w południe zjawili się w teatrze Bigforda.

W czasie wielu prób okazało się, że Harold jest świetnym śpiewakiem komycznym, że Li Lea przepięknie tańczy, a Al w mistrzowski sposób rzuca lassem.

Wreszcie nadszedł dzień pierwszego występu. Od samego południa nasza trójka siedziała w teatrze, przygotowując się do premjery. Harold otrzymał śmieszny kostjum o szerokich spodniach i kusej kurteczce i oglądał go z rozpaczą.

Al także spoglądał z niesmakiem na swój kostjum hinduski, składający się tylko z zawoju na głowę i krótkiej opaski na biodra.

— To wstyd się tak pokazywać prawie nago! — mruczał ponuro. — Naród, który się tak ubiera, skazany jest na zagładę. Zobaczycie, że wszyscy Hindusi marnie skończą i to w krótkim czasie.

Zato drugi kostjum napełnił go zachwytem. Był to cały strój cowboya (czyt. kauboj) t. j. pasterza ze stepów Meksyku, o szerokich skórzanych spodniach, kraciastej koszuli i wielkim jak młyńskie koło kapeluszu. Jaskrawa chustka i dwa olbrzymie rewolwery uzupełniały ten kostjum, w którym Al czuł się jak odrodzony.

Li Lea także z radością oglądała kostjum, w jakich chodzą dziewczęta na Tahiti.

Wzorzyste jedwabne lava-lava, ozdobę z muszelek i tiare, czyli kwiaty. Wianek na główkę, wianek na szyję i dwa wielkie hibiskusy, zatknięte załotnie za uszy.

— Teraz Li Lea wygląda jak na wyspie pod wiatrem! — powtarzała z błyszczącymi oczami. — Li Lea chciałaby już wrócić na wyspę pod wiatrem, tam bardzo pięknie!

— Ja tam wolę Nowy Jork — wrzuciła ramionami śpiewaczka, która dzieliła garderobę z tancerką.

Nagle rozległy się we wszystkich garderobach dzwonki i inspicjent, kierujący przedstawieniem, przeszedł przez korytarz, bębniąc pięścią we drzwi.

— Wszyscy na scenę, zaraz zaczynamy!

Rozgorączkowani artyści zgrupowali się w pomieszczeniu koło sceny i oczekiwali na swoje wejście.

Harold nerwowo obciągał krótką kurtkę i co chwila poprawiał mały kapelusik, sterczący mu na czubku głowy. Czuł się strasznie nieszczęśliwie, a wyglądał tak śmiesznie, że wszyscy uśmiechali się na jego widok.

Dyrektor Bigford, czerwony i spocorny jak nigdy, kiwnął na niego i zaprowadził na ubocze.

— Niemiła sprawa — rzekł, żując resztkę cygara. — Czy wy nie macie jakiego wroga?

— Nie, a czemu pytasz?

— Donieśli mi właśnie, że wszystkie plakaty, na których byliście wymalowani, zostały pocięte i poszarpane nożem. Ktoś ze szczególną pasją znęcał się nad księżniczką i nad tym brodaczem, choć i ty masz twarz pokłutą. Czuję w tem jakąś wschodnią zemstę, jakąś zawziętą nienawiść. Może to jakiś wyspiarz z Tahiti, albo co?

— Do licha, to Shing Tso, ten przekłety Chińczyk! — zawołał z niepokojem Harold i pobiegł do Ala.

— Słuchajcie Al, Li Lei grozi niebezpieczeństwo! Chińczyk jest w pobliżu! Pociął wszystkie obrazy maleńkiej, a i nasze także. Uważajcie na nią i brońcie jej jak oka w głowie!

— Ta gadzina jest tutaj? — zawołał olbrzym i fala krwi oblała jego obrosnięte policzki. — No, niech on tylko wpadnie w moje ręce.

W tej chwili kurtyna poszła w górę i na scenę wpadło kilkadziesiąt tancerek. Harold pociągnął Ala do bocznych kulis i przez specjalny wziernik przepatrywał tłumy publiczności, zapelniającej teatr po brzegi.

— Jak tu znaleźć tego łajdaka? — zawołał z rozpaczą. — Wy go lepiej znajcie, popatrzcie, czy gdzie tu nie siedzi.

Olbrzym przyłożył oko do dziury i twarz po twarzy przeglądał zbite szeregi widzów.

— Księżniczka na plan! — zawołał inspicjent do Li Lei.

Tancerka stanęła u wejścia na scenę.

— Śliczny pan niech patrzy, czy Li Lea ładnie tańczy. Li Lea będzie tańczyć tylko dla ślicznego pana, bo Li Lea kocha go bardzo — rzekła cichutko, dziwnie wzruszona tancerka, pa-

trząc nań wilgotnymi, błyszczącymi jak gwiazdy oczami.

Harold był tak wzruszony, że nie mógł nic odpowiedzieć i tylko ścisnął Li Leę za małą, lekko drżącą rączkę.

Maszyści opuścili dekorację, przedstawiającą krajobraz na Tahiti. Smukłe palmy, drzące w podmuchach wiatru, a wдали lśniące morze Południa, osrebrzone błękitnawym, księżycowym światłem.

— Tak jak u nas, na wyspie pod wiatrem! — westchnęła Li Lea, patrząc z zachwytem na dekorację. — Czy Li Lea wróci kiedy na swoją kochaną wyspę?

— Wróci, napewno wróci! — szepnął Harold. — Razem wrócimy!

— Li Lea nie wie, Li Lea czegoś boi. Ktoś chce zrobić coś złego Li Lei — wyszeptwała tancerka, drżąc jak w febrze.

Nagle kurtyna się uniosła i rozległy się słodkie dźwięki Ukulele i hawajskich gitar, a zawtórował im głęboki gong gamelanu, egzotycznego instrumentu z miedzianych płyt.

Elektrotechnik powoli odstąpił reflektor, pokryty niebieskim szkłem, co czyniło wrażenie, jakby księżyc wyszedł z chmur.

— Go on! — szepnął inspicjent. — Naprzód!

Li Lea ścisnęła rękę Harolda i lekko jak ptaszek pofrunęła na scenę, skąpana księżycowym światłem. Na tle czarodziejskiej dekoracji wyglądała jak niezziemskie zjawisko.

Harold podbiegł do Ala.

— Panie! Jest gad! Siedzi w pierwszym balkoniku! Patrzy na panią, jakby ją chciał zabić wzrokiem!

Harold spojrzał przez wziernik i z rozpaczą w sercu ujrzał w pierwszej łoży Chińczyka, pochylonego naprzód i płomiennymi skośnymi oczami wpatrującego się w tancerkę.

— Co zrobić, Boże, co zrobić?

— Zastrzele go jak psa! — zawołał olbrzym, chwytając za rewolwery, które miał u pasa. — Nie, to tylko zabawki! Rewolwer, dajcie mi prawdziwy rewolwer!

— Za późno szukać! Trzeba coś zrobić zaraz! Patrz! Wyjmuje nóż!

Harold wbił ręce w drzewo w poczućiu bezsilności.

— Zamierza się na nią! Ratuj ją!

Nie zważając na nic, wpadli obaj na scenę, lecz o jedną chwilę za późno.

Tancerka spostrzegła Chińczyka i cofała się przed nim jak przed jadawym wężem, zasłaniając oczy rączkami. Chińczyk wychylił się z łoży i wyciągnął przed siebie rękę.

Nóż świsnął w powietrzu i wbił się w pierś Li Lei.

Tancerka padła na ręce Harolda, jak złamany wichrem kwiat.

Szybki jak błyskawica Al, zawińawszy nad głową lassem, posłał niechybną węzową pętlę w kierunku łoży i za chwilę w powietrzu huk, ciężko opadł na scenę.

W teatrze wszczęło się zamieszanie, a przerażona publiczność zerwała się z krzeseł.

Al dopadł Chińczyka i błyskając oczami nabiegłymi krwią, zaczął go dusić.

W jednej chwili na scenie zrobił się tłok, przez który z trudem przebijał się dyżurny policjant.

A na tle wspaniałej dekoracji Tahiti, cicho konała tancerka.

— Li Lea, maleńka moja Li Lea! — szeptał Harold. — Zbudź się, otwórz oczy!

Li Lea cicho westchnęła i strumień krwi żywiej popłynął z jej serca.

— Śliczny pan nie pokocha Li Lei — wyszeptwała cichutko. — Biedna Li Lea umrze zdaleka od swojej wyspy pod wiatrem i palmy nie będą jej śpiewały piosenki, a fala nie opłóczy jej nówek...

— Li Lea, już dawno cię kocham, maleńka! — jęknął Harold, walcząc z napływającymi łzami.

Tancerka uniosła główkę, ozdobioną kwiatami.

— Kocha? Naprawdę? To dobrze, Li Lea umrze szczęśliwa, taka szczęśliwa... — zaszemrała ledwie dosłyszalnie i powieki jej zamknęły się łagodnie.

— Doktora! Na miłość Boską doktora! — zawołał Harold, wodząc błagalnym spojrzeniem po tłumie artystów.

— Już idzie!

— Za późno! Nie żyje! — rzekł ktoś z tłumu.

Haroldowi zrobiło się ciemno w oczach.

Kurtyna zapadła powoli.

A ryczący z bólu Al wyciskał życie z mściwego Azjaty.

Kilkanaście rąk oderwało go od mordercy, lecz olbrzym rozciął ich i znów dopadł Chińczyka, rozjuszony jak niedźwiedzica, której zabito młode.

Policjanci wydarli mu z rąk martwe prawe ciało mordercy i odprowadzili go do więzienia, aby poniósł karę, przepisana przez prawo.

Al podniósł się i zataczając głową jak ślepiec, rozepchnął tłum skupiony nad tancerką.

Ujrzawszy śliczną główkę Li Lei w mrokach śmierci, upadł z rykiem na deski sceny.

Doktor schylony nad tancerką uchwycił słaby i nieregularny puls.

— Jeszcze żyje?

Harold utkwilił weń oczy, rozgorzałe nadzieją.

— Czy będzie żyć? — zapytał ktoś z tłumu.

— Wątpliwe, nóż dotarł do serca. Konieczna operacja. Trzeba ją przewieźć do szpitala.

Po chwili biały samochód wiozący tancerkę przez zatłoczone ulice, które na głos trąbki pogotowia pustoszały. Samochody usuwały się na boki, dając drogę ambulansowi, wiozącemu uciekające życie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Po operacji Li Leę złożono na łóżku w białym pokoju, tchnącym śmiercią.

— Doktorze, czy będzie żyła? — błagał Harold, patrząc z rozpaczą w oczy lekarza.

Ten pokręcił głową i rozłożył ręce.

— Jeżeli Bóg zechce. Nadziei niema...
Harold z jękiem padł na kolana przy łóżku.

Al w kącie gryzł kresy filcowego kapelusza, tłumiąc szloch, wyrrywający mu się z potężnej piersi, a łzy zrosiły jego zarosnięte policzki.

Nagle Li Lea leciutko zatrzepotała powiekami.

— Li Lea nie chce umierać jak poganka... — zaszemrała. — Li Lea chce się ochrzcić i stanąć bez grzechu przed Bożą Małeczką...

— Księdza, na miłosierdzie Boskie księdza!

Jedna z zakonnych siostr, odmawiających litanję za konających, wstała z klęczek i cicho wysunęła się z pokoju.

— Czy jest tu śliczny pan? Li Lea nic nie widzi...

— Jestem kwiatuszk, jestem!

— Niech śliczny pan da rękę i mocno trzyma Li Leę...

Wszedł ksiądz w komżę i dokonał chrztu biednej małej poganki.

— Teraz... Li Lea jest biała... i duszę ma czystą... — wyszeptala tancerka i z uśmiechem szczęścia przymknęła zapadnięte powieki, a uścisk jej rączki zwiótł.

— Koniec — rzekł lekarz, zbliżając się do łóżka.

Odpowiedział mu straszny ryk Ala, gryzącego z bólu palce aż do krwi.

Harold padł z jękiem na ziemię.

Lekarz ujął bezwładną rączkę tancerki i nagle zdziwienie odmalowało się na jego twarzy.

— To dziwne! Puls zdaje się mocniejszy! Boję się coś powiedzieć, bo z taką raną żyć nie można... ale — bywają cuda.

O taki cud właśnie błagali Al z Haroldem na stopniach ołtarza Matki Boskiej w kościele katolickim.

Harold dotychczas obojętny i niewierzący, chciwie wypytywał Ala, czy Bóg, jeżeli bardzo Go prosić, zesle łaskę niegodnemu i ocali życie Li Lei.

Al utwierdzał go w wierze i przytaczał liczne łaski, jakie spotykały ludzi niegodnych i grzesznych, lecz ufnie i mocno wierzących.

Harold słuchał i wciąż pytał i modlił się żarliwie, całymi dniami przebywając w kościele, u stóg Boga i Jego świętych, których przedtem nie siłił się nawet poznać.

Tylko tam, na kolanach, w gorącej modlitwie mógł przetrwać te ciężkie dni, gdy lekarze na zapytanie, odpowiadał niepewnie:

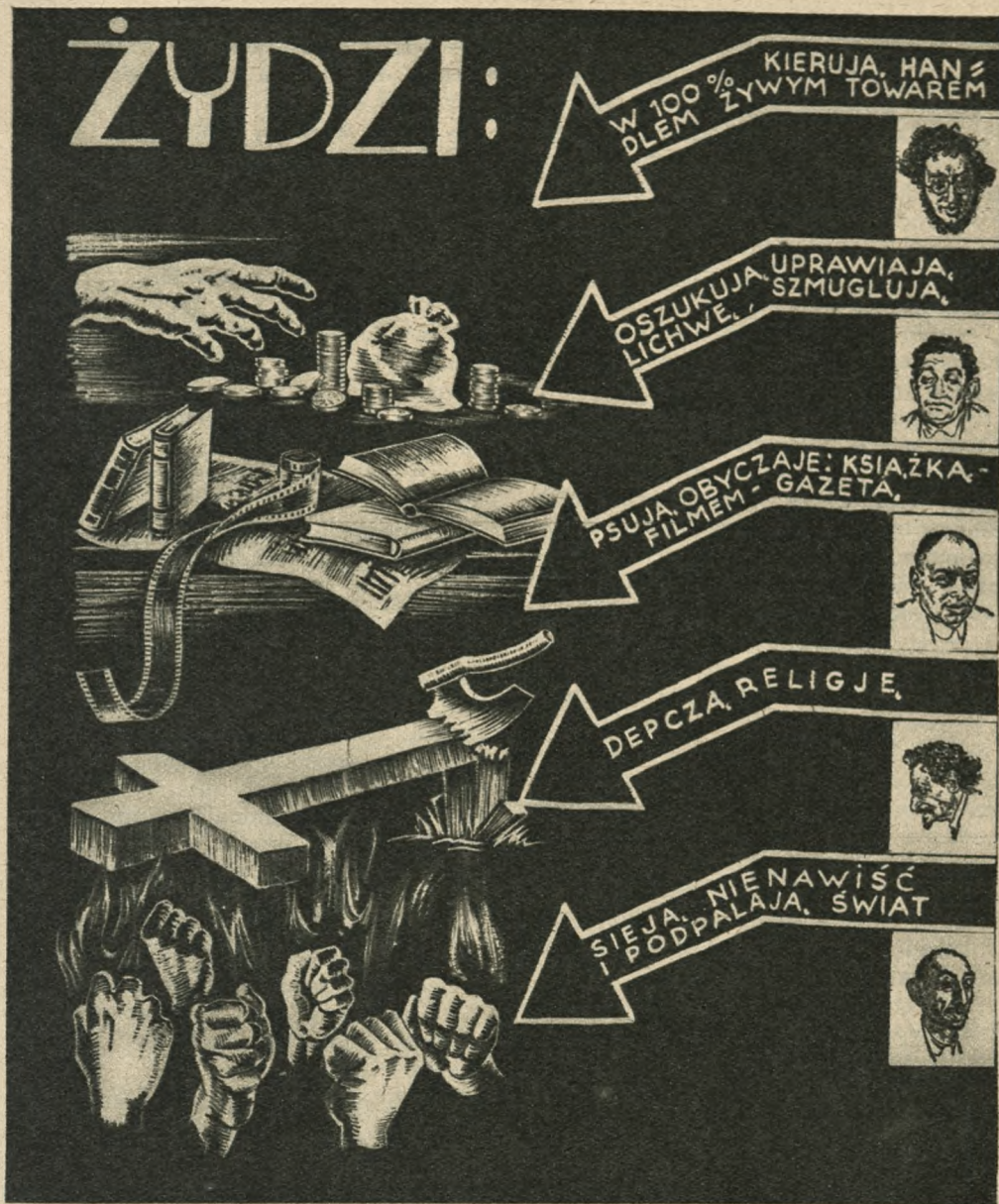
— Jeszcze żyje... ale...

Te okropne dni zrobiły z Harolda innego człowieka. Pusty, beztroski i niefrasobliwy młodzieniec stał się mężczyzną dojrzałym, wyszlachetnionym przez cierpienie. A na cierpienie i rozterki duchowe niema lepszego lekarstwa, jak wiara i modlitwa.

Każdego dnia przychodzili obaj przed ołtarz Niepokalanej, błagać o życie Li Lei.

A życie jej ważyło się przez kilka dni na szali. Śmierć krążyła koło ślicznej główki, nie mając odwagi jej skosić.

I widać wyblągali u Boga to biedne, zamierające życie, gdyż któregoś dnia jasnym się stało, że Li Lea żyć będzie.



Żydzi

Dziwne i tragiczne są losy tego narodu. Zawsze — jak daleko tylko spojrzymy w przeszłość — jak cień nieodłączny szła za nim, nienawiść. Siali ją wszędzie, trudno się więc dziwić, że i zbierali ją pełnymi garściami. Mimo otaczającej ich pogardy, knuli w tajemnicy wielkiej plan oparcia świata. Praca nad tem trwa już wieki, a oni nie spoczywają ani na chwilę. Czasem są już u celu, za wczesnie jednak wybuchną. Budzą się wtedy zagrożone narody. Wtedy dzieje się źle, zbudzony naród daje odpowiedź. Tak było na przykład na Węgrzech po wojnie światowej. Wyczerpane, zwyciężone Węgry chcieli Żydzi rzucić do swych stóp. W tym celu wywołali rewolucję komunistyczną. W skład ówczesnego, czerwonego rządu na 26 komisarzy weszło 18 Żydów. Liczba to ogromna, jeżeli zważy się, że Węgry miały tylko półtora miliona Żydów na 21 milionów mieszkańców.

We wszystkich ostatnich rewolucjach rej wodzili — Żydzi.

Tak było w Rosji: Trocki, Zinowjew, Radek, Litwinow i dziesiątki innych.

W Niemczech: Róża Luksemburg i Karl Liebknecht.

Na Węgrzech i obecnie w Hiszpanii: Bela Kun.

A teraz we Francji nie kto inny tylko Żyd Leon Blum przygotowuje rewolucję.

Wyżej na obrazku przedstawiono środki, które Żydzi posługują się przy wywołaniu rewolucji.

Dnia tego Harold wraz z Alem i Johnsonem szlochali z radości na stopniach ołtarza i dziękowali Bogu sercem przepełnionem miłością.

Dnia tego Harold został przyjęty na łono Kościoła, do którego dotąd należał tylko z imienia.

I od tego samego dnia zdrowie Li Lei szybko wracało.

Po kilku tygodniach powolnego powrotu do zdrowia, doktor oświadczył, że za tydzień Li Lea może opuścić szpital.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pewnego dnia, gdy Harold wracał ze szpitala, z pędzącego samochodu wyskoczył adwokat Howard i wpadł na niego z wrzaskiem:

— Harold, warjacie! Gdzie się podziewasz? Po kilka razy posyłałem swego dependenta (praktykanta) do ciebie, ale ta stara zasuszona mumja Johnson odpowiada przez drzwi, że wyjechałeś i nie zostawiłeś adresu.

— Tak ma nakazane, bo wierzyciele nie daliby mi spokoju.

— Już nie masz wierzycieli, chłopcze! Wszyscy spłaceni!

— Kiedy? Jak?

— Przed chwilą spłaciłem ostatniego. Sprzedałem willę, teatr i jesteś czysty!

— Sprzedał pan teatr?

— Sprzedałem za okrągły milion i to pokryło wszystkie twoje długi.

— Miljon? Cóż za warjat dał za te ruiny miljon?

— Mury jeszcze dużo warte. Wykończyć, włożyć w urządzenie drugie tyle i teatr jak cacko. Kupił koncern Wolslea.

— Więc nie mam już żadnych długów? Ani dolara?

— Nie, zapłaciłem wszystko, nawet za rozsadaną łazienkę i kociel Snobkinsa — rzekł adwokat, uśmiechając się złośliwie.

— Oo! A pan skąd wie o tem? — zdziwił się Harold, stając jak wryty na środku ulicy.

— Snobkins wpadł na mnie z wymówkami, że dają bilety polecające komunistom i zamachowcom dynamitowym, a po bilecie i charakterze pisma domyśliłem się, że to ty byłeś tym nałogowym palaczem. — A czy wiesz, że udało mi się ocalić dla ciebie osiemnaście tysięcy dolarów?

— To majątek! — zawołał olśniony Harold. — O, teraz będę wiedział, co z tem zrobić, już akcji więcej nie kupię. Howard uderzył się w czoło.

— Byłbym zapomniiał! Ty zdaje się masz akcje peruwiańskiej kopalni miedzi? Znalezione tam bogate pokłady miedzi i ktoś skupuje te akcje, po tysiąc dolarów za sztukę.

— To pechl! — zaśmiał się Harold. — Miałem kilka tysięcy tych akcji, ale Johnson już je pewno spalił, bo tak mu kazałem.

— Trzeba być skończonym warjatem, żeby wydać taki rozkaz! — wrzasnął poruszony do głębi adwokat.

— Przecież pan sam powiedział, że mogę spokojnie je spalić — roześmiał się Harold.

Adwokat otworzył usta i zamilkł zgnębiony.

— Jedźmy do ciebie! Może Johnson był mądrzejszy niż my obaj! — zawołał nagle, kiwając na swoje auto.

Szofer podjechał i obaj wskoczyli do samochodu, a popędliwy adwokat, bijąc szofera po karku, przynaglał go do szybkiej jazdy.

Wpadli do kuchni jak bomby.

— Johnson... gdzie... gdzie... — zaczął adwokat z trudem chwytną oddech.

— W piecu! — odparł Johnson, patrząc nań z zadowoleniem.

Adwokat opadł bez sił na krzesło.

— Zaraz się upiecz. Zarumieniła się ślicznie.

— Co? Kto? O czym ty mówisz, stary krokodylu? — zdziwił się Harold.

— O babce biskoptowej dla jej wysokości — rzekł Johnson. — Miała być na pierwszą, ale mi ciasto nie chciało rosnąć.

Adwokat zerwał się z krzesła, ale Harold powstrzymał go ręką.

— Ja go zapytam. Johnson, powiedz mi, kochaneczku, gdzie są te bezwartościowe papiery wartościowe, co ci kazałem spalić? Spaliłeś je może?

— Nie jestem taki głupi! — odparł z godnością Johnson.

— A coś z niemi zrobił?

— Zawijałem w nie śmieci i wynosiłem do skrzyni na ulicy, bo papier był gruby, nieprzemakalny.

Adwokat znów padł na krzesło, a Harold pytał dalej:

— Wszystkie?

— Nie, nie wszystkie — rzekł z namysłem Johnson, a mr. Howard znów się zerwał na nogi.

— A coś z resztą zrobił?

— Podarowałem mleczarzowi, do owijania butelek z mlekiem.

— O, ty stary bałwan! Każda akcja warta tysiąc dolarów! — ryknął adwokat, padając na krzesło.

— Czemuż mi pan tego wcześniej nie powiedział? — zawołał zgnębiony Johnson. — Może się da coś jeszcze uratować.

— Ja sam wiem dopiero od wczoraj! — zawołał adwokat.

— A ja podarowałem je tydzień temu.

— Barania głowa! — krzyknął z irytacją adwokat, siadając bezsilnie na krzesło.

— Ale coprawda mam jeszcze kilkadziesiąt arkuszy w komórce!

Adwokat zerwał się po raz szósty.

— Człowieku, czemu nie mówisz odrazu! Dawaj je tu!

Johnson popędził do komórki, a Harold siedział na kuchennym stole i machał nogami, wspominając słodką twarzyczkę Li Lei.

Adwokat miotał się po kuchni, spoglądając ze złością na młodzieńca.

— Czy ciebie to nic nie obchodzi?

— Co? A, te akcje? Owszem, ale są ciekawsze rzeczy na świecie.

— Ciekawym co? — wrzucił ramionami adwokat, rzucając się na krzesło.

— Gdyby pan miał tyle lat co ja, napewnoby się pan nie pytał.

— Kiedy miałem tyle lat co ty, to siedziałem całymi dniami w sądzie i studjowałem akty najtrudniejszych spraw majątkowych.

— Kazałbym dać sobie dwadzieścia pięć batów, gdybym miał takie dziwaczne upodobania — rzekł szczerze Harold.

— Są, są! — zawołał Johnson, wpadając z plikiem papierów. Adwokat znów zerwał się z krzesła i rzucił na akcje, jak lew na antylopę.

— To nie te, to nie te, to śmieci i to tak! — mruczał, grzebiąc w stosie różnokolorowych papierów. — O, są, są!

— Nie może być! Naprawdę? — zbudził się Harold z marzenia, w które znów zapadł.

— Pięćdziesiąt sztuk! A ile ich kupiłeś?

— Nie pamiętam, ale zdaje się że trzy tysiące, po pięć dolarów za papier. A jednak to był dobry interes!

— Tak, gdybyś go umiał przechować, miałbyś trzy miliony! — burknął adwokat, siadając z gniewem na krzesło.

— Taki majątek, taki majątek! — mruczał zgnębiony Johnson i nagle zerwał się z błyskiem w oczach. — Odnajdę mleczarza i wyrwę mu z gardła te akcje! Niech panowie tu zaczekają, a ja jeszcze sprawdzę w skrzynce od śmieci, bo jeszcze dziś rano zwinąłem skorupy od jaj i łupiny bananów w jakieś papiery procentowe!

Mrucząc pod nosem wybiegł z kuchni i pobiegł grzebać w śmieciach.

Adwokat wstał i znów usiadł bez żadnego powodu. Johnson, wywijając zmiętymi papierami, wpadł zziębnięty z krzykiem:

— Są, są! Czy to te?

Adwokat zerwał się z krzesła z żywocią młodzieniaszka.

— Te, te same! Szukajcie więcej!

— Polecę do mleczarza i przycisnę go do ściany. I chwyciwszy kapelusz, wybiegł dusić mleczarza.

Adwokat opadł znów na krzesło.

Do wieczora Johnson zziębnięty i spotniały jak ruda mysz, przyniósł jeszcze kilkadziesiąt akcji. Dociągnęli w ten sposób do setki. Ale reszta przepadła jak kamień w oceanie.

Olbrzymi Al, opuściwszy swego ukochanego cielaka zauważył zgnębienie Johnsona i cichą rozpacz adwokata, a dowiedziawszy się o co chodzi, wytrzeszczył oczy.

— Takie papierki? Z takim dzikussem namalowanym na wierzchu? Przecież ja wytapetowałem przegródkę dla byczka w garażu temi papierkami, bo się walały w komórce.

— Zbawco! Dobrodzieju! — ryknął adwokat, po raz setny zrywając się z krzesła.

Pobiegli do garażu i oderwali jeszcze trzysta pięćdziesiąt akcji, w odcinkach po dziesięć sztuk.

— Żeby choć dociągnąć do pół miliona! — martwił się adwokat. — Prędzej mógłbym sobie przebaczyć. Skrzywdziłem cię, Haroldzie, ja, który kocham cię jak własnego syna!

— Niech pan się nie martwi — śmiał się Harold. — Mam prawie pół miliona, a to ogromna kupa pieniędzy. Wystarczy na podróż i urządzenie sobie życia. Nowego życia!

— Wyjeżdżasz? — przeraził się adwokat.

— Wszyscy wyjeżdżamy.

— Dokąd?

— Na wyspę pod wiatrem.

— Zwarjował — krzyknął adwokat rzucając się na krzesło, które zaczęło już trzeszczeć złowrogo, zgnębione ciągłymi atakami zażywnego mecenas. — Gdzie to jest?

— Na Tahiti, tam, gdzie się urodziła moja księżniczka.

— Jaka znów księżniczka? — zerwał się adwokat.

— Moja narzeczoną! Panna Li Lea.

Mecenas padł z taką siłą na krzesło, że biedny ten sprzęt rozsypał się na kawałki.

— Zenisz się? — stęknął adwokat z posadzki.

— Tak, pojutrze! — rzekł wesoło Harold, pomagając mu stanąć na nogi.

— Już pojutrze? A ja myślałem, że ożenie cię z Ethel. — I potrząsając siwą głową, adwokat wybiegł z pokoju.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

A w dwa dni potem w szpitalnej kaplicy odbył się ślub Li Lei i Harolda. Huh, było bardzo pięknie i uroczyste!

Li Lea w białej sukience i welonie była tak cudna i promienna, że Harold chciał głośno krzyczeć ze szczęścia.

Ksiądz związał im ręce stułą i Li Lea stała się panią Haroldową Oven.

Olbrzymi Al, ubrany w modny żakiet, z błyszczącym cylindrem pod pachą, elegancko ostrzyżony, z brodą przyściętą w szpic, zmieniony do niepoznania, ryczał jak bób z radości, zagłuszając weselny marsz.

Johnson, bardziej pomarszczony niż zwykle, spłakał się także, tak z radości, jak i z żalu, że zmarnował tyle cennych akcji kopalni miedzi, czego sobie nie mógł wybaczyć.

Prosto z kaplicy udali się wszyscy wspaniałym samochodem do portu, skąd mieli odjechać na morze Południowe, na szczęśliwą wyspę pod wiatrem.

Hu, było tam hałaśliwie w tym porcie! Syreny okrętowe ryczały, motorówki warkotały, dźwigi i krany jęczały, piszczały i zgrzytały, prosiatko, które Johnson ścisnął pod pachą, kwiczało, a łaciaty cielak, wodzony z dumą przez Alę, zarykiwał się radośnie.

Japoński okręt Kaito-Maruk kołysał się w basenie i przyjmował do swego wnętrza podróżnych.

W tłoku państwo młodzi stracili z oczu Alę.

— Gdzie Al, Haroldzie, gdzie małpeczka? — pytała niespokojnie Li Lea. — Ojej, jeszcze zginie!

— Tam stoi, kochanie, nie obawiaj się o niego.

Li Lea podbiegła do olbrzyma. Stał na pomoście i gapił się na okręt.

— Wsiadać, wsiadać na okręt, bo odjedzie! — przynaglała go panna młoda. — O, a gdzie się podziało cielatko?

Olbrzym spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Jakie cielatko?

— Małpeczko, czy małpeczka zgubił swoje cielatko?

Olbrzym się rozgniewał.

— Proszę mnie nie nazywać małpeczką! — zawołał z gniewem, tupiąc nogą.

— Małpeczko! Co się małpeczce stało? — przestraszyła się Li Lea, cofając się o krok.

— Nie jestem małpeczką! Pani mnie obraża! Jestem tak zarośnięty, bo używam płynu Onakron na porost włosów.

— Ojej! Haroldzie! Coś się z małpeczką stało niedobrego! Gada od rzeczy!

Harold pospieszył do żony i zdębiał. To nie był Al.

Al z cielakiem na pasku podszedł do Li Lei i spojrzawszy na pierwszego wielkoluda, stanął jak słup soli.

Harold przetarł oczy. Na pomoście stało dwóch Alów, podobnych do siebie jak kropla do kropli. Nawet ubrani byli podobnie, tylko ten pierwszy olbrzym był trochę starszy i twarz miał nieco pomarszczoną. Stali obaj naprzeciwko siebie i wytrzeszczali na siebie zdumione oczy.

Pierwszy oprzytomniał starszy olbrzym.

— Gdybym nie wiedział, że mój syn w Meksyku umarł przed laty, to dałbym głowę, że pan jest moim rodzonym synem.

— Pokaż zęby, pokaż zęby! — ryknął Al, chwytając swego sobowtóra za bary.

Zdumiony brodac z otworzył szeroko usta. Al zajął i jęknął.

— Nie jesteś moim ojcem, nie masz dwóch złotych zębów! Matanara mówiła, że masz dwa złote zęby na przodzie!

— Matanara? Tak się nazywała służąca mojej żony! — krzyknął ze wzruszeniem starszy olbrzym. — Synu, mój synu!

— Kiedy nie masz złotych zębów, kiedy nie masz zębów! — wzdychał Al.

— Synu! Miałem dwa złote zęby, ale dziesięć lat temu wstawiłem sobie nową szczękę!

— Naprawdę? — zapytał z niedowierzaniem Al, walcząc z chęcią rzucając się w objęcia sobowtóra.

— Na główkę mego synka przysięgam!

— To chodź, ojcie, w moje objęcia! — huknął Al, szeroko otwierając ramiona.

I dwa olbrzymy rzuciły się na siebie, ściskając się i całując aż grzmiało, a słowa miłości dudniały, jak porykiwania dwóch rozgniewanych niedźwiedzi.

— Huh, małpeczka znalazł swojego tatusia! — pisała Li Lea, rzucając się w objęcia męża, który skwapliwie skorzystał z okazji i ogień wycalał złośliwą buzię księżniczki z wyspy pod wiatrem.

— Oddam prawe oko na guzik do spodni, jeśli to nie był głos mego pobożnego niedźwiedzia, co mnie tam durzył banialukami nad granicą w Meksyku! — zawołał jakiś oberwany włóczęga, wciskając się pomiędzy zebrawych. — Wyście to, stary Alu, czy wasz sobowtór?

Al oderwał się od ojca i spojrzał.

— Jack, Gorąca Pięta! — zawołał z radością, wyciągając doń swą potężną łapę.

— To Al, naprawdę ten stary zwariowany szop! Ale ręki wam nie podam, bo mi ją zgnieciecie na marmoladę. Zaczekajcie, wyszukam jaki kawał drewna! — cieszył się włóczęga. — O, i wasz sobowtór tu sterczy! Oddam wam głowę na piłkę do foot-bal, jeżeli to nie wasz ojciec, za którym uganialiście się po całym świecie.

— Szukałeś mnie, synu, szukałeś? — rozrzewnił się na nowo starszy olbrzym.

— Szukałem, papo! Tak, Jack, zgadliście, to jest mój ojciec. Teraz mam już dla kogo pracować i oszczędzać.

— Wcale nie potrzebujesz na mnie pracować, mój synku! Jestem dosyć bogaty i mogę ci dać pieniędzy, ile zechcesz. Mam fabrykę płynu na porost włosów, Onakron.

— Oddałbym wam nogi na podpórki do stołu, gdybym i ja mógł tak znaleźć bogatego ojca, bo mi się już głód i włóczęga tego dały we znaki — westchnął Pięta.

— Jack, idziecie do mnie! Biorę was na sekretarza! Uff, to najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Jednego dnia

ślub panny Li Lei z panem Haroldem, odnalezienie ojca i przyjaciela! Jack, upijemy się dzisiaj jak woły!

— Jak ludzie, stary niedźwiedziu, jak ludzie! — poprawił włóczęga. — Wół pije dotąd, dokąd ma pragnienie, a ludzie mogą wlewać w siebie wódkę bez miary!

— Ale to tylko dziś, po raz ostatni w życiu! Więcej nie pijemy, panie sekretarzu.

— Zgoda na sekretarza, ale wiedźcie, że ja pisać nie umiem.

— Ja także, Jack, ja także, ale to nic, nauczmy się!

Syrena okrętowa ryknęła po raz ostatni.

— Na pokład, na pokład! — krzykliwi stewardowie (okrętowi kelnerzy), mali skośnoocy Japończycy.

— Haroldzie, to małpeczka z nami nie pojedzie? — dopytywała się Li Lea.

— Chyba nie, skoro znalazł swego ojca. Żegnajcie Al, a pamiętajcie o nas!

— Nie, nie, nie żegnajcie! Tylko do widzenia! Przyjedziemy na wyspę na pewno! — ryczał Al, ściskając Harolda, Johnsona i przez pomyłkę Li Leę. — Panie Haroldzie, ale zostawicie mi cielaka? Ja go tak kocham!

— Dobrze, dobrze, dobrze! — zawołał radośnie Johnson, pakując się na pokład z wrzeszczącym prosiakiem pod pachą. — Zawsze jeden bydlak mniej!

Okręt żegnany okrzykami i machaniem chusteczek, oraz tysiącem sztucznych ogni i rac, wypuszczanych przez Chińczyków i Japończyków, aby odstraszyć złe duchy, wysunął się z portu i popłynął ku dalekiej, wysnionej, wyspie pod wiatrem.

A w tej samej chwili niegodziwy Chińczyk Tsing Tso, skazany na dożywotnie więzienie, kleił koperty, setki i tysiące kopert, w celi ponurego więzienia.

Olbrzymi Al ujął ojca za ramię, Jacka wziął pod drugie i oryginalna ta trójka, bezmiernie szczęśliwa, pomaszrowała do miasta, śpiewając chórem żalosną piosenkę o rozstaniu i powitaniu. Za nimi skakał na pasku łaciaty cielak, porykując rozdzierająco.

Policjanci przeprowadzali podejrzliwym wzrokiem tę szczęśliwą paczkę, a zdumiona publiczność zalegająca ulice, stawała w niemym podziwieniu.

Ale oni nic sobie z tego nie robili i szli zamaszycie, śpiewając głośno i okropnie fałszywie.

ZAKONCZENIE

Minał miesiąc i drugi, minęło ich kilkanaście! Na szczęśliwej wyspie pod wiatrem czas szybko leci, czasu się nie mierzy!

Pewnego pięknego dnia — a na szczęśliwej wyspie wszystkie dni są piękne — do zatoki Rekina wpłynął biały szkuner pod gwiazdzistą banderą i zarzucił kotwicę.

Z wyspy sypnęli się krajowcy i na pirogach (t. j. wydrążonych z jednego pnia łodziach) podплыли ku okręciowi.

— Hallo! Czy tutaj mieszka pan Harold i panna Li Lea? — ryczał przez tubę młody olbrzym, o gładko wygolonej twarzy.

— Głowę oddam za dwa kokosy, że tutaj! — krzyczał drugi Amerykanin, wymachując korkowym hełmem. — Widzę motorówkę, a w niej pana Harolda i młodą panią.

— Eha! Eha! Tak, tak, tutaj! — brzmiały okrzyki maoryjskich wyspiarzy.

— Jack! Przyjechaliśmy do domu! Wyrzuć rzeczy, wylądować byka! — ryczał olbrzym, biegnąc po pokładzie jak warjat.

W płytkiej wodzie zatoki, sięgającej do pasa, widać było coraz więcej wyspiarzy, a zwłaszcza kobiet, które brodząc po piaszczystym dnie, spieszyły do okrętu.

— Panie, jak wylądować to zwierzę? — martwił się ciemnolity marynarz. — Szalupa jest za mała, a zwierzę jest niecierpliwe i ryczy jak szatan.

— Spuśćcie się windą nadół, a skoczcie do wody, bo tu płytko i zaniosę je na plecach na wyspę — odparł olbrzym, wpijając się niecierpliwym wzrokiem w motorówkę, ciągnącą za sobą biały ogon piany.

— Małpeczka! Mój drogi małpeczka! — pisnęła młoda dama, ubrana w strój miejscowy, to jest we wzorzysty sarong, którym była owinięta od ramion do kolan.

— Al, stary brodaczu, to wy? — krzyczał opalony na brązowo młodzieniec.

— To my, już na zawsze! — ryknął wzruszony Al i bez namysłu skoczył w wodę.

Za jego przykładem poszli Harold i Li Lea i wszyscy troje, stojąc po pas w zielonkawej przezroczystej toni, ścisnęli się i całowali, piszcząc, krzycząc i porykując z zachwytem.

— Oddam się tym ludożercom na rożen za dwa guziki, jeżeli nie ryknę dzisiaj jak małe dziecko! — zawołał Jack, Gorąca Pięta, krzywiąc się ze wzruszenia okropnie. I widocznie dla ochłonięcia, skoczył również do wody, aby przyłączyć się do ogólnej radości.

— Panie, ahoi! Spuszczamy zwierzę! — wołał marynarz ze szkuneru.

— Spuszczajcie! — odkrzyknął Al, podchodząc do boku okrętu.

Nad burzą ukazał się półtoraroczny byczek, wiszący na pasach i linach.

— Małpeczko! Czy to jest to nasze cielątko? — pytała z niedowierzaniem Li Lea, patrząc na błyszczącą sierść okazałego byka.

— To samo! Kocham je jak własne dziecko. Wolno, wolno tam!

Byk opuszczony na blokach zawisł nad wodą. Olbrzym podsunął się pod zwierzę i wziął je na swe potężne barki.

Jack odczepił sznury i Al spokojnie kroczył przez wodę, ku odległej o kilkadziesiąt metrów wyspie. Krajowcy ze zdumieniem patrzyli na silacza, wydając okrzyki podziwu i uwielbienia.

Harold i Li Lea brodzili za nim po wodzie, ciągnąc za sobą motorówkę.

— A stary pomarszczony staruszek żyje, zdrowy? — dopytywał Al.

— Zdrowy, ma żonę i dwoje dzieci! — zaśmiał się Harold.

Olbrzym z wrażenia aż stanął i omal nie upuścił byka w wodę.

— Ożenił się? Taki stary?

— Wcale nie taki stary, ma dopiero pięćdziesiąt lat, a tu całkiem odmłodził. Nie poznasz go, kochany Alu. Wspomina cię często.

— Więc nie zapomnieliście o mnie? — zapytał wzruszony olbrzym.

— O tobie? Li Lea chyba więcej ciebie kocha niż mnie! Od rana do nocy tylko o tobie śni i marzy.

— Okropnie kocham małpeczkę, okropnie, że już sama nie wiem, jak! — zawołała Li Lea, przyciskając rączki do piersi.

— O moja złota panienko, ja też was kocham okropnie! — ryknął ze łzami w oczach Al. — Jechałem tutaj jak do ojczyzny i chyba nigdzie nie mógłbym być szczęśliwszy.

Popatrzał na smukłe palmy, drżące w podmuchu rześkiej morki i serce rozpiekała mu radość.

Dobrzejdawszy do wyspy, Al rozwiązał byczkę i puścił go na swobodę.

Byczek prychnął gniewnie, podniósł pysk, powęszył i ryknął z zadowoleniem pogalopował w głąb wyspy.

— Będzie miał towarzystwo, bo mamy dwie krówki — rzekł Harold.

Siedli na brzegu i czekali na Jacka, który wioził na szalupie bagaże.

Z pomiędzy palm i paproci wylazła ogromna świnia, otoczona kilkunastoma prosiakami i chrząkając z zadowoleniem podbiegła do Li Lei, aby otrzymać porcję pieśczot. Li Lea drapała ją za uchem, co napępiało świnie szczęściem i rozkoszą.

— A prosiątko żyje jeszcze? — zapytał Al, patrząc na stado prosiaków.

— To właśnie jest nasze prosiątko, ta świnka.

— Ta ogromna świnia? — zdziwił się Al.

— Tak, a to jej dziatki, te małe prosiaczki — odparła Li Lea.

Świnia podeszła do Harolda i poufale trącała go ryjem, a Harold, zamiast się oburzyć, serdecznie poklepał ją po tłustych bokach.

Al kręcił głową.

Pewnego dnia przy śniadaniu zebrali się wszyscy na werandzie pięknego domku Haroldów i mówili, mówili bez końca, wspominając złe i dobre czasy.

Johnson przyszedł z żoną, ładną kolorową kobietką, która słodkie swe oczy wlepiła z miłością w swego niezbyt młodego, lecz dziarskiego małżonka.

— A jak się miewa ojciec twój, Alu? — zapytał Harold.

— Biedak nie żyje już od dwóch miesięcy — westchnął Al. — Spotkał go okropny cios, którego nie mógł przeżyć. Jego płyn na porost włosów okazał się bezwartościowy. Z początku kupowali go ci, co mieli wytysiec, ale po kilkumiesięcznym używaniu wyłysiali do reszty. Ojciec chciał sam wypróbować ten środek i także wyłysiał. Odczuł to tak ciężko, że umarł. A po jego śmierci skupilem wszystkie flaszki, wlałem je do wanny i przez kilka tygodni kąpałem się w tym płynie codziennie. No i włosy wylazły doszczętnie.

nie i jestem tak samo gładki jak i wszyscy. Wtedy sprzedałem wszystko, co mi zostało po ojcu, spakowaliśmy z Jackiem manatki i oto jesteśmy, aby już nigdy stąd nie wyjechać. Prawda, panie sekretarzu?

— Sekretarzu, sekretarzu! Nie wykluwaj mi oczu tym sekretarzem! — skrzywił się Jack. — Naco sekretarz, nie umiejący pisać, człowiekowi, który także nie umie skrobać piórem po papierze?

— Jakto? I jeszcze się nie nauczyli? — roześmiał się Harold.

— I oddam watórbę na kolację, że nigdy się nie nauczymy.

— A jak wam się tutaj żyje? — dopytywał Al, rozglądając się ciekawie po werandzie, obwieszanej pięknymi barwnymi matami.

— Hu, paradnie — zawołała Li Lea.

— Cudownie, że i lepiej być nie może — potwierdził Harold. — Prowadzimy plantacje ananasów na eksport do Stan. Zjedn. Johnson jest intendentem generalnym, zarządza firmą i pracuje za czterech, żeby mi wyrównać straty na akcjach kopalni miedzi. Ubrdał sobie, że mnie zrujnował i nie spocznie, dopóki nie będę miał kilku milionów. I zdaje się, że do tego dojdzie, bo nasze ananasy biją hawajskie o całe niebo soczystością, miękkością, słodyczą i zapachem.

— Pracy dużo?

— O tak. Ja nic nie robię, a żona mi pomaga. Rano pływamy i łowimy ryby, po obiedzie zbieramy kwiatki, pod wieczór śpiewamy i tańczymy, a po kolacji odpoczywamy. Czasami zajrzemy do kantoru, gdzie poci się Johnson, lub zwiedzimy plantacje.

— Pan to też zawsze ma pstro w głowie! — burknął Johnson. — A kto wybudował kościółek? Kto sprowadził księdza misjonarza? Kto założył szkołę i ochronkę dla dzieci? Kto opiekuje się chorymi? Kto rozdaje pieniądze biedakom? Pan i nasza księżniczka, ale pan zawsze lubi pleść głupstwa. Ech, bo nie lubię!

— Ja? Ja tylko kocham swoją żonę — zaśmiał się Harold. — Bo kochamy się okropnie. Prawda, małutka?

— Huh, okropnie! — potwierdziła Li Lea, pakując się mężowi na kolana. — A małpeczka się nie ożenił?

— O nie, my z Jackiem zostaniemy do śmierci kawalerami. Prawda, Jack?

— O, za to nie dałbym ani kawałka paznokcia. Widziałeś tutejsze kobietki? Słodkie, aż strach! — zawołał Jack, wykrzywiając hultajsko gębę.

I rzeczywiście w dwa miesiące później, w kościółku ufundowanym przez Harolda, ksiądz misjonarz dał im ślub z dwiema ślicznymi dziewczętami.

I żyli wszyscy razem na szczęśliwej wyspie pod wiatrem, żyli spokojnie i wesoło. Huh, okropnie wesoło!

I żał mi tylko, że muszę się już z nimi rozstać, bo przyznam się szczerze, że ich pokochałem.

Hu, okropnie pokochałem!

Koniec.

Mamy poważnie chorego w domu...

rego. Zanim się jednak okna otworzy, trzeba chorego dobrze okryć, by broń Boże się nie przeziębził.

W jaki sposób pielęgnować chorego?

Oto w taki, w jaki pragnęlibyśmy sami być pielęgowani.

Prawie każdy chory jest niecierpliwy. Z drugiej znów strony przygodne pielęgniarki nie-
zawsze mają cierpliwość co jeszcze bardziej drażni i boli chorego. Jeżeli jednak urządzimy chorego odpowiednio, to i sobie obsługę ułatwimy.

W pierwszej więc linii zapewnimy choremu spokój. Dbać będziemy o czyste powietrze, by choremu ułatwić oddychanie. Również czystość ciała chorego zapewni mu więcej spokoju. Jeżeli chory jest tak słaby, że z łóżka wychodzić nie może — zmywanie ciała dokonywać kawałkami, zwilżając szmatkę w ciepłej wodzie, ścierając nią pot z ciała i wycierać do sucha ciało. Przystępując do zmywania chorego trzeba zamknąć na klucz drzwi, aby w tym czasie nikt nie wchodził i chorego nie zawiało. Pokój musi być ogrzany. Aby łatwo było można dojść do chorego, musi być dostęp do łóżka z obu stron.

Przy łóżku musi stać stolik a na nim wszelkie przybory i lekarstwa potrzebne choremu i jego pielęgniarce.

Jeżeli lekarz nie zabronił pić choremu wody bądź czystej bądź też z sokiem, niechaj na tym stoliku zawsze stoi coś do ugaszenia pragnienia chorego, najlepiej w filiżance z lejkim, gorą zamkniętej (kupić można w składzie z porcelaną) gdyż z tej filiżanki można pić leżąc.

Zazwyczaj nie powinien chory leżeć wysoko, gdyż przez wysokie leżenie górnej części ciała — ramiona wysuwają się do przodu, przez co płuca mają utrudniony oddech. Jeżeli jednak chory chce przebywać w łóżku przez pewien czas w formie siedzącej, trzeba mu to ułatwić.

Dobrze jest, jeżeli się ma w zapasie kilka poduszek, które według życzenia chorego można podkładać lub wyjmować. Kto jednak poduszek zapasowych nie posiada, musi sobie inaczej radzić, np. wstawić w głowy wywrócone krzesło i na niem opręć poduszkę. Aby ułatwić choremu siedzenie, można mu wcisnąć poduszkę pod krzyżę a pod kark włożyć albo zrolowaną poduszkę a w razie braku teje rolękę wełny drzewnej lub siana, owiniętą w ręcznik. Również jakąś dłuższą rolękę trzeba wsunąć choremu pod kolana.

Jeżeli zamierzamy poprawić poślanie choremu, nie mogącemu się unieść, to czynimy to w ten sposób, że z obu stron łóżka ktoś stoi. Jedna osoba podkłada lewą, druga prawą rękę pod krzyżę chorego. Ręce opierają się wzajemnie na łokciach i w ten sposób unosi się ostrożnie chorego. W czasie gdy jedna osoba wolną ręką

podtrzymuje kolana chorego, druga osoba wolną ręką poprawia poślanie.

Jeżeli całe łóżko przesłać trzeba, to stają dwie osoby po jednej stronie łóżka, podkładają ręce — górną pod kark i krzyżę, — dolną pod miednicę i kolana i w ten sposób przenoszą chorego na drugie poślanie. Tam go okrywają szczelnie, pościelą, w których leżał chory przewietrzają, łóżko wstrząsają, po chwili zaś — wygrzewają je butelkami z ciepłą wodą, poczem dopiero przekładają chorego z powrotem do jego pośłania.

O odżywianiu i leczeniu chorego pisać nie będę, gdyż to uzależnione jest od wskazań lekarza.

Zaznaczam jednak, że kolację winien chory jeść wcześniej, aby nie zasypiał z pełnym żołądkiem. Jeżeli czas na to po-

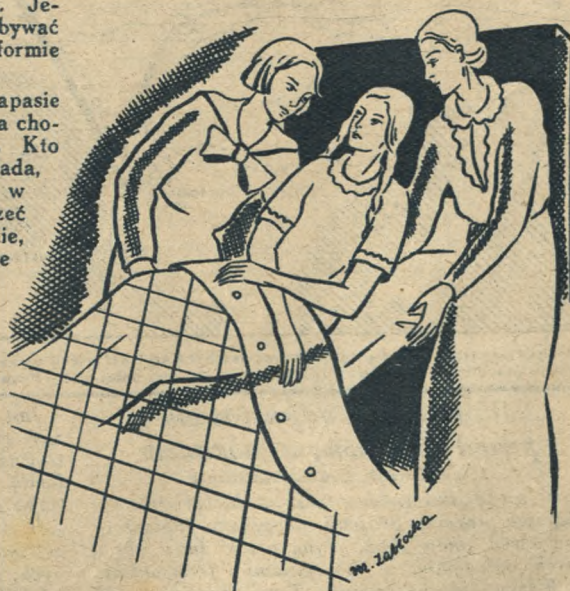


Przez leżenie ciała chorego a głównie naczynia krwionośne, zostają ściśnięte. Skóra zostaje przez to słabo odżywiona, co powoduje często „odleżenie” się ciała. Aby temu zapobiec, podkłada się choremu pod siedzenie pierścień gumowy. Zamiast tego, można jednak sporządzić sobie tańszy pierścień. Wykroić z inleitu krąg o średnicy zewnętrznej 35 cm, w środku wykroić krążek 10 cm. Kola razem zeszyć i wypchać silnie pierzem albo włosiem. Wypchania włosiem trzeba jednak dokonać umiejętnie, aby fałdy nie ugniaty chorego. Pierze natomiast trzeba przesyć, aby pod ciężarem nie zostało wciśnięte w jedno miejsce. Podkładając taki krążek pod chorego, trzeba go powlec i od czasu do czasu powleczenie zmieniać.

zwala można usiąść przy chorym i czytać książkę lub gazetę. Oczywiście nie wolno czytać książki ani artykułów denerwujących.

Na „dobranoc” można jeszcze podać choremu herbatę baldrianową i nie zapomnieć okna otworzyć, poczem znów zamknąć.

U.



Jedna osoba podkłada lewą, druga prawą rękę pod krzyżę chorego.

**Kultura pielęgniar-
ska była daw-
no wielkiem poszano-
waniem. Oto piękna szkatułka w
której książki zawierająca najpotrzeb-
niejsze leki! Szkatułka ta pochodzi
z 17 lub 18 wieku.**

Może kiedy nam się wydarzyło, że byliśmy przygwożdżeni przez chorobę do łóżka. Z jaką wdzięcznością i ulgą wspominamy tego, który w owych dniach pełen miłości i poświęcenia umiejętnie opiekował się nami. Ile zaś razy pozbawieni byliśmy tej umiejętnej opieki, miast ulgi, doznawaliśmy niepokoju i wewnętrznej udręki. Chory potrzebuje przedewszystkiem spokoju. Im spokojniej ma chory, tem lepiej się czuje. Dlatego ważną jest rzeczą umieścić chorego w pokoju, gdzie najmniej hałasów dochodzi. Jeżeli jest tylko jedna izba, to wtedy wszyscy domownicy muszą przestrzegać, by w domu panowała cisza. Drzwiami nie wolno trząszyć, garnkami nie uderzać, a łyżkami nie brzęczeć po talerzach. Nim się po coś wychodzi na dwór, obmyśleć, czy za jedną drogą nie da się ułatwić jeszcze czego, by jak najrzadziej otwierać drzwi.

Przestrzegać również trzeba, aby pokój, w którym przebywa chory — był dobrze przewietrzany, albowiem słonce i powietrze jest konieczne dla chorego.

Unikać palenia papierosów a co gorzej fajki.

Jeżeli chory sam nie może obejść się bez palenia, to nie wolno zapomnieć, by choćby ze 3 razy dziennie otworzyć okna na dłuższą chwilę, aby wszystek dym się ulotnił. Zwłaszcza przed wieczornym snem musi być wywietrzone pomieszczenie cho-



(Dok. ze str. 317)

obecnie bez pracy, mieli raczej skromne utrzymanie, aniżeli cierpieli z głodu i niedzy. „Oczywiście, dygnitarzom związkowym — pisze Kap — mającym po kilka tysięcy złotych miesięcznie dochodu z różnych źródeł, nawet nie mających nic wspólnego z oświatą (np. z propagandy cyklorji w szkołach), trudno zrozumieć niedolę dziecka, walącego się bezczynnie po ulicach i nauczyciela-bezrobotnego, napróżno poszukującego jakiegokolwiek pracy.”

Zasłepienie partyjne przesłania nawet najlepsze poczynania.

Najbliższa pomoc dla bezrobotnych leży w odżydzeniu polskiego handlu. Wykazaliśmy to już w ostatniej gawę-

dzie. Obecnie donosimy wam, że znane zajścia w Przytyku bardzo silnie pobudziły samowiedzę narodową tamtejszych Polaków, gdyż rodacy coraz mniej popierają handel żydowski. Również ostatnio wyszło najaw, jako sprytnie urządzają się żydowscy fabrykanci, którzy zatrudnionym u siebie biednym robotnikom Polakom nie dawali gotówki, lecz kwitki, które trzeba było wymieniać na towar w sklepach żydowskich. Oj te kwitki! Ile nadużyć łączy się z temi kwitkami! Wszyscy wiemy z doświadczenia, że praktyki z kwitkami i omijaniem obieguowego pieniądza połączone

są zazwyczaj z wielką krzywdą robotnika. Nadto zwolnili robotników niektórych z pracy. Lecz chłopci dostatecznie już uświadomieni, poszli im zaraz z pomocą. Pożyczyli im zaoszczędzonych z trudem pieniędzy na rozpoczęcie handlu domokrajnego i w ten sposób uratowali od najgorszego zwolnionych robotników. Taki polski handlarz przyjmowany po wsiach po bratersku, czuje, że jest w Polsce. W Radomsku, dziedzic dowiedziawszy się, że zamiast żydów kupili chłopci od niego woły, tak się tem ucieszył, że dał im 50 zł na „szczęście“!



ŚWIĘTEJ ZYT

czcicielki obchodziły jubileusz pracy na jednej służbie przez lat 25:

1. Pelagia Kaszuba w Hłowcu,
2. Marjanna Kuczkówna w Żegotkach;

przez lat 30:

3. Marjanna Szerleja w Januszewie;

przez lat 50:

4. Marja Stempień w Striju.

Służbę pełniły wiernie, sumiennie, uczciwie.



CZY TY WIESZ?

że jednym z największych awanturników na tronie królewskim był szwedzki król Karol XII?

Było to przeszło dwieście lat temu. Szwecja była wówczas najpotężniejszym państwem północnej Europy. Nic więc dziwnego, że stanowiła smaczny kąsek dla sąsiadów, którzy postanowili wykorzystać brak doświadczenia młodziutkiego króla Karola XII. Jednym ze zacie-tych wrogów Karola był ówczesny król polski Sas August II, zdrajca, który w jasny dzień sprzedawał Polskę. Rachuby wrogów jednak zawiodły. Bohaterski Karol załatwił się najpierw z Duńczykami, poczem srogi dał cieżki pod Smoleńskiem pięciokrotnie liczniejszej armji Piotra Wielkiego, cara Rosji. Pod Kliszowem wreszcie załatwia się z Sasem, osadza na polskim tronie szlacheckiego wojewodę poznańskiego Stanisława Leszczyńskiego, w końcu podąża na Ukrainę. Szuka wciąż walki, ale tej decydującej, która pozwoliłaby mu się zmierzyć oko w oko z całą potęgą nieprzyjaciela i ją zdruzgotać.

Była już u schyłku sił wskutek głodu, mrozu (w ciągu jednej nocy miało zmarznąć 4 tys. Szwedów) i wyczerpania, zaatakowały ją wojska rosyjskie i pokonały w r. 1709 (pod Poltawą). Karol wówczas schronił się do Turcji, próbując Turków namówić do walki z Rosją, co mu się jednak nie udało.

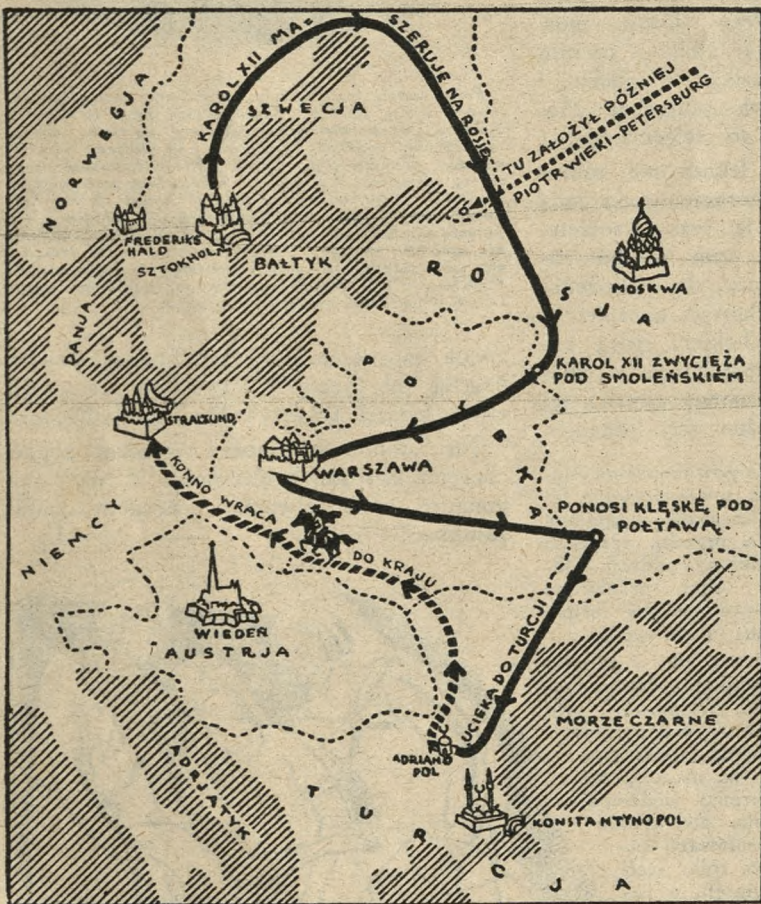
W roku 1714 doszły go wieści z ojczyzny, że naród nie chce nic słyszeć o swoim królu, który nie troszczy się o kraj i gdzieś w Turcji szuka przygód i że możni panowie Szwecji postanowili wybrać innego króla. Przebrawszy się wtedy w mundur niemieckiego oficera, w towarzystwie jednego tylko współrodaka, rusza konno w olbrzymią drogę woprzek Europy. Dni spędza na koniu, noce w dyliżansie pocztowym i wśród najniebezpieczniejszych przygód w nieprzyjacielskim kraju, przebywa w ciągu 16 dni drogę od granicy tureckiej do twierdzy Stralsund, która wtedy należała do Szwecji.

Komendant twierdzy, zbudzony w nocy, własnym oczom nie chce wierzyć, że to sam król, o którym wiedział, że przebywa w Turcji. Miasto, a wkrótce i cały kraj ogarnia ogromny zachwyt dla odwagi i brawury króla Karola, który tymczasem wyczerpany drogą, z nogami opuchniętymi od długiej jazdy, zażywał upragnionego snu. Wszystko jakby ktoś ręką odmienił, nikt już w Szwecji nie myśli o wyborze nowego króla.

Karol wraca do kraju i objął swoje rządy, jednakże gnany żądzą przygód, rozpoczyna nową wojnę, mając jako wrogów Anglię, Niemcy, Norwegię i Danję, czyli całą niemal ówczesną Europę. W pierwszym rzędzie postanowił pokonać Danję.

Zamiaru swego już nie zdołał urzeczywistnić. W czasie oblężenia jednej z duńskich warowni w r. 1718 ginie, zabity, ponoć przez własnego podwładnego, gdyż kraj nie mógł już dłużej zcierpieć kaprysów tego bohaterskiego ale i wiecznie awanturniczego się króla, żądnego nietyle szczęścia poddanych ile bezustannych przygód wojennych.

So. L.



Droga (zaznaczona grubą linią), którą przebył Karol XII wśród ustawianych walk, wynosiła w przybliżeniu przeszło 7 tys. km (t. zn. 23 razy dalej, jak z Poznania do Gdanska).

W miejscu odpustowem przed cudownym obrazem

(Objaśnienie do obrazka frontowego)

W upale skwarne go dnia, o świcie ruszyły zewsząd procesje. Szosami, drożynami gubiącemi się wśród łanów zbóż, płyną potoki ludzi ubranych odświętnie, z chorągiewkami i fereترونami.

Wszyscy idą na odpust. Tam przecież przed cudownym obrazem jakoś rażniej czelkowi poskarżyć się, dzięki czynić, i o opiekę prosić.

Jest właśnie po sumie uroczystej. Przed obrazem przesuwają się fala ludzka. Na chwilę zatrzymała się — ludzie padają na kolana, ręce łamią, podnoszą się — potem sunie dalej, ustępując miejscu następnym i tak aż do zmroku.

W chwili, którą artysta przedstawił na obrazie, zatrzymała się przed obrazem fala ludzi biednych, znękanych. Na stopniach kłęczący omdlała od bólu niewiasta. Dalej dwie babiny i dzia-duc, szepcą modlitwy. Tuż za nimi: matka słarszka i ojciec przywiedli przed ołtarz schoro-

waną córkę. Biedactwo niedawno zmogła ciężka choroba tak, że teraz może chodzić tylko o kulach. Tu, przed cudownym obrazem przyszła pełna niemocy ale i ufności. Może Bóg da jej ulgę, a może chociaż doda sił do niesienia krzyża w cichości...

Za chwilę i ci ludzie odejdą. Przyjdą inni, może nie tak zbolali, radośni więcej. Ale każdy zawierzy Najśw. Paniency (na obrazku miejsce cudowne Kevelaer) jakąś troskę, jakąś sprawę, jakąś prośbę! I każdy z ulgą w sercu z tego miejsca wracać będzie do domu.

ZA GRZECHY OJCÓW

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

1)

Rozdział I

List

Zły był. Od rana padał deszcz, a siano leżało na pokosach.

Jak na złość wczoraj skosili.

Teraz to nawet reumatyzmowi nie można zaufać. Rwało go zawsze na zmianę w lewej nodze, a wczoraj nic, ani odrobiny. Więc chociaż barometr leciał na zmianę, zawierzył więcej własnym kościom i kazał kosić. A teraz masz pogodę!

Zaniosło się na jakie trzy dni. Niebo szare od krańca do krańca, siano się zgnoi. Żeby byli chociaż zdążyli na ostrewki ułożyć, niechby sobie potem lało.

Ech! najgorzej to rolnikowi!

Chodził po izbie gniewnie i pykał fajkę. Jego olbrzymia, barczysta postać odcinała się masywną sylwetką od białych ścian, gładko wygolona twarz wyglądała, jakby ją kto z drzewa wyrzezał, grube i kanciaste, silnie zaznaczone brwi zbiegały się u nasady orlego nosa, usta były wąskie i silnie zwarte, a oczy błękitne, ciemniały gniewem, jak niebo przed burzą.

— Rafale! — Drzwi od kuchni uchyliły się na szerokość dłoni. Wyglądnęła twarzyczka okraśla, pomarszczona, jak te jabłka na jesienu. — Rafale, list przynieśli do podpisu.

— Polecono? Do nas? Może się w adresie pomylili?

— Nie, wyraźnie stoi: Szanowny Pan Rafał Kopeć w Niżnej Woli, nr. 46. Niech pan wejdzie, panie Pyrtek, brat podpisze.

Pan Pyrtek, wysoki i chudy, wsunął się do izby, czapkę urzędową na stole położył. Z daszka kapłało na szydełkową serwetę, rozłożoną starannie na politurowanym stole. List z torby wyjął i podsunął Rafałowi receptis do podpisu.

— Gdzież to podpisać?

Chudy palec z czarną obwódka za paznokciem pokazał:

— O tu, pod piątym numerem.

Innym razem byłby pan Rafał zaprosił posłańca na kieliszek domowej śliwownicy, ale dzisiaj, moknące na deszczu siano, wypłoszyło z niego wszelką gościnność. Złożył okulary, siadł, z trudem gramoliły się na papier litery wielkie i niezdarne, kanciaste i zwarte.

— Ale, też psia pogoda na dworze, przemoczyło mnie, że no! No służba, służba i jak pilne, to trzeba iść — usiłował nawiązać rozmowę posłańca, zezując przytem wymownie w stronę kredensu, na którym stała pękata fłaszka i na pokuszenie wiodła. Dobrze byłoby przetrącić, światby poweselał i droga powrotna prędzejby przeszła.

— A tak, psia pogoda! — odrzekł pan Rafał. — Zawsze mnie łupie w nogę na zmianę, a wczoraj nic, ani,

ani. Kazałem kosić siano, no a teraz ciurczy od samego rana.

— Będzie ze trzy dni lało.

— A bodaj was z taką przepowiednią kaczki zdeptały! Człowiek mało ze skóry ze złości nie wyskoczy, a ten jeszcze swoje kracze.

— E, wstaliście widać lewą nogą z łóżka. Z Bogiem, panie Kopeć.

Zabierał się do odejścia, ale powoli, bo nuż się jeszcze gospodarz namysli i poczęstuje. Nie namyslił się, padła tylko odpowiedź:

— Z Bogiem, panie Pyrtek.

— Rozmaite są skąpizny na tym Bożym świecie — pomyślał Pyrtek i powlókł się błotnym gościńcem w powrotną drogę.

— Trza go było właściwie czemś poczęstować — pomyślał Rafał, ale zaraz machnął ręką. — Et, jechał go sęk, nikomu się teraz nie przelewa, żeby wódkę rozdawać, przy byle okazji, a przytem kto wie, co za nowinę przywiózł... Pewnie złą, bo jak ludziom dobrze, to najczęściej nie piszą, a głoszą się, gdy im bieda doskwiera.

A gdzież się znowu te psiakręckie okulary podziały. Przysiąc można, że leżały przed chwilą na stole. Odłożył je, jak podpisał receptis, a teraz zczczył gdzieś i niesposób ich znaleźć.

Jakby się z człowiekiem bawiły w chowanego: ani na oknie, ani na komodzie, ani na podłodze. Wpadły jak kamień w wodę, a ty się człowieku złość.

Też przyjemność, trzymać list w ręku, a nie móc go przeczytać.

— A kto to pisał, Rafale?

Panna Karolina Kopcianka w niczem nie przypominała olbrzymiego brata. Wszystko w niej było drobne i zaszuszone, oprócz wielkich błękitnych oczu przestraszonego dziecka.

Huknął w jej stronę:

— Okulary gdzieś przepadły, przeczytać nie mogę, w tem sęk. Pomóż mi szukać, to ci powiem, kto i co pisze.

Wzdrygnęła się i ręce podniosła do skroni:

— Pan brat, jak huknie, to jakby w człowieka piorun strzelił, aż mnie głowa z miejsca rozbolała.

— Siostra wrażliwa, jak nieprzymierzając hiszpański piesek. Podpisywałem, były tu na stole i rozstap się ziemi.

— Przecież leża.

— Gdzie?

— No gdzieżby? Na stole, tylko pan brat na nich ten list położył.

— To siano mnie trapi i sam nie wiem, co robię.

Złożył okulary, spojrzał na kopertę, mruknął:

— Z jakiegoś szpitala piszą... —

Obracał chwilę list w grubych rękach, poznaczonych postronkami żył i powoli, systematycznie kopertę scyzorykiem rozciął.

Karolina śledziła uważnie cały proceder rozcięcia listu. Jej wielkie oczy starego dziecka były pełne nieposkromionej ciekawości. A skąd też? A od kogo? A o co? Bo któż mógł do nich pisać? Kto tam jeszcze gdzieś na szerokim świecie o nich starych pamięta?

I nagle myśl:

Jedna Julka chyba...

Ale Julka nie napisałaby do Rafała. Poszła przecież zamąż wbrew woli brata. Co to wtedy była za awantura! Do dziś dreszcz lęku wstrząsa wątłym ciałem panny Karoliny. Ona nigdy nie potrafiłaby się tak przeciwstawić woli brata, ale Julka...

Julka była taka inna od nich wszystkich, a bratu najukochańsza. Smukła, zgrabna, złotowłosa, zdawała się tańczyć, gdy szła. Dom był pełen jej śmiechu i jej śpiewu. Szły za nią oczy ludzkie zachwycone i zazdrosne. Pysnił się nią Rafał, jak skarbem.

Zakochała się. Student był, na wakacje przyjechał, w oczy jej zaglądał, deklamował wiersze i na mandolinie w letnie noce grał.

Urwał się śmiech i śpiew, coś wrogięgo wtargnęło do domu. I wreszcie Rafał chłopakowi drzwi zamknął przed nosem. Dosyć zabawy! Nie na zabawkę siostrę chował.

I wtedy Julka postawiła się Rafałowi. Mówiła, że nie ma prawa łamać jej szczęścia. O, Julka umiała walczyć o swoje... jak się potem okazało, nieszczęście. Brat był nieubłagany, nie chciał dla siostry panicza z miasta, pragnął, by na roli została, jak wszystkie z ich rodu. A Julka spakowała walizę i, uciekła...

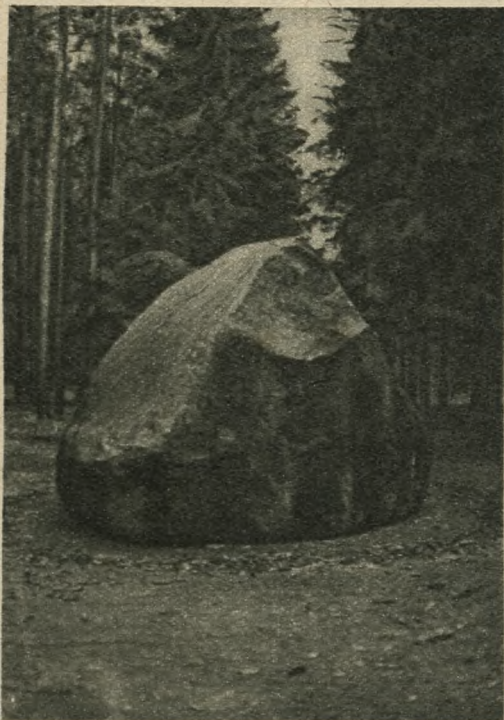
Wybrała...

I od tego czasu była dla nich jak gdyby umarła. Gorzej jeszcze, bo umarłego się wspomina, płacze po nim, a Julka została wykreślona z ich życia, jakby jej nigdy nie było. Może właśnie dlatego, że Rafał ją kochał ze wszystkich sióstr najwięcej.

Wyszła za swojego studenta zamąż, ale rodzina raz na zawsze wyrzuciła ją za swój obręb.

Panna Karolina słyszała potem, ot, tak ktoś doniósł, że mąż Julki stracił posadę, że mają córeczkę, wkońcu, że się rozeszli. On gdzieś we świecie przepadł, a Julka, strach pomyśleć, w kabarecie jakimś tańczyła. Nie powiedziała o tem bratu, broń Boże, nie byłby jej zresztą dał zacząć, bo raz na zawsze zabronił wspomniania Julki. Ale, jak tylko wtedy powróciła z miasta, zwierzyła się najstarszej siostrze Sydzi. Obie potem zasnąć nie mogły, popłakały się, i na tem się skończyło. Nie znały ani jej adresu, ani nawet dobrze nie pamiętały nowego nazwiska. Dla nich mąż Julki był panem Józiem, co smętne piosenki i modne tanga na mandolinie wygrywał.

Silna ręka Rafała ciążyła nad życiem wszystkich mieszkańców folwarku w Niznej Woli. Ani Sydonja, ani Karolina nie pomyślały nawet, że mogłyby się kiedy sprzeciwić woli brata. Słowo Rafała było dla nich święte. Gdy rodzice umarli, brat zastępował im matkę i ojca, brat się nie ożenił, bo one dorastały, i nie chciał wprowadzić do domu kogoś obcego. Któżż zresztą żona dbałaby o niego tak tkliwie, jak to czyniły siostry? Całe ich życie wypełniał po brzegi Rafał, i troska o to, by mu we wszystkim dogodzić. One same były gdzieś na ostatnim planie, nie liczyły się. Coś się tam raz marzyło Karolinie.. W majowy wieczór usta młode opadły na jej usta, ale brat nie pozwolił i skończyło się. Panna Karolina popłakała przez kilka tygodni, wzdychała nawet do śmierci, ale potem... trudno, muru głową nie przebije, a wola brata była jak mur.



Kamień djabelski w lesie pod Gołuchowem

Rozpoczął się miesiąc maj. Drzewa kwitną, słowiki śpiewają, wiosna pachnie. Czy chcesz, czy nie chcesz — ciągnie cię coś w dal, w pole, do lasu, na wycieczkę.

I tak się stało, że razem z dwoma zacnymi towarzyszami wybraliśmy się na majówkę, ale — jak przystoi na poważnych mężów — na majówkę poważną, mianowicie z prywatną pielgrzymką do cudownego obrazu Matki Boskiej w Tursku, w okolicy Pleszewa.

Rychło rano o świcie wyruszyliśmy koleją do Pleszewa. Starożytny autobus zawiózł nas z dworca na rynek. Aby dodać sobie ducha przed dalszą drogą, wstąpiliśmy do pobliskiego lokalu na szklanek kawy. Kawa była dobra i bułeczka z masłem też.

W środku lokalu ujrzelśmy na podłodze kwadrat z desek, wygładzonych woskiem.

— Co to jest? — zapytałem.

— Jest to miejsce do tańcowania — objaśnił mnie towarzysz, bywalec swia-

I Sydzia miała swój krótki sen o szczęściu i też się skończyło, bo Rafał się dowiedział, że kawaler w karty grawa, romanse po kątach uprawia i, zamknął mu dom.

I powoli układało się wszystko i stosowało do przyzwyczajenia Rafała. Całe życie tych dwóch starzejących się panien upływało w trosce o dobro brata; był dla nich gwiazdą na szarem tle ich jednostajnego życia.

Jedna Julka była inna...

I Julka właśnie źle skończyła.

Od kogoż mógłby być list ze szpitala... od niej tylko, albo o niej.

Przez tyle lat ani słowem nie odezwała się do nich. Miała swój honor i swoją równie jak Rafał nieugiętą wolę, więc, jeżeli teraz pisze, to chyba u progu śmierci stoi.

Patrzyła panna Karolina oczyma staroego dziecka, jak brat list czytał, widziała, jak się na twarzy mienił, jak w pięść zacisnęła się silna ręka, a brwi zbiegły. Dygotała już ze strachu, przygotowywała się na to, że zacznie kląć po swojemu, ale nie, zmógł się, wyprostował i rzucił twardo:

— Niech Karolina zawoła Sydonji.

Podreptała więc do kuchni. Starsza siostra zajęta była lepieniem pierogów na wieczerek.

Jej szczupłe, zręczne palce kładły kulkę siekanego mięsa, woniejącego cebulką i korzeniami, na cieniutki płatek

ciasta i zaciskały brzegi z szybkością i wprawą maszyny.

— Sydziu, Rafał chce, żebyś przysłała do stołowego... Ten list, wiesz... coś w nim zdaje się jest ważnego.

— Niech Pan Bóg broni, żeby nie co złego.

Umyła ręce, wytarła je starannie, odwiązała okoliste fartuch gospodarczy w błękitne i białe paski i powiesiła go na gwoździu. Nie śpieszyła się, miała już w naturze tę powolną akuracność we wszystkim.

Weszła do pokoju i spojrzała pytająco na brata. Stał przy stole i wciąż jeszcze trzymał list w ręku.

— Wiecie od kogo jest ten list?

Spojrzały na siebie, obie miały jedno imię na ustach i obie go nie wymówiły, a jednak ono to właśnie padło od lat po raz pierwszy, ciężko jak kamień, pomiędzy nich.

— Od Julki...

— Od Julki... — szepnęły siostry.

Ręce panny Sydonji splótły się tak silnie na poręczu krzesła, że aż stawy palców zbieleły, a panna Karolina poczuła nagle w oczach łzy, którym koniecznie zachciało się spaść. Mrugała oczami, aby te łzy natrętne powstrzymać, przełykała z trudem ślinę, która jej podchodziła do gardła. A Rafał mówił nie patrząc ani na jedną, ani na drugą, tylko gdzieś za okno, na szybę opływającą strugami deszczu:

Majówka

towy — widocznie obywatele pleszewscy urządzają tu sobie wieczorem dancing. Ale zdaje mi się, że na tym kwadracie pomieści się nie więcej jak jedna para gruba, albo dwie pary chude.

— Tak czy owak — pomyślałem — że też nawet pocziwy, solidny Pleszew nie może żyć bez dancingu?

— Czy wy macie pojęcie, co to jest Pleszew? Skromne to niby miasteczko, lecz ilu wielkich wydało ludzi. Z Pleszewa pochodzi szereg uczonych profesorów, duchownych i świeckich. Pleszewskiem dzieckiem był wielki działacz społeczny ś. p. Seweryn Samulski, Z Pleszewa przybył do Poznania zasłużony dyrektor Księgarni św. Wojciecha, p. Ziółkowski. W Pleszewie ma swą stolicę prezesa Młodych Polek na całą Polskę. Nawet obecny wojewoda wileński pochodzi z Pleszewa. Tu żyje i działa wódz abstynentów, ks. prałat Niesiołowski. I tak mógłbym wyliczać do wieczora.

— Lepiej już przestańcie wyliczać, a ruszajmy w dalszą drogę.

Następną naszą stacją był Gołuchów z zamkiem książąt Czartoryskich i z ogromnym parkiem. Podziwialiśmy w parku cudowne drzewa i wiosenną zielen trawników i sarenki tak potulne, że z odległości kilku kroków zaglądały nam w oczy, i rzeczkę Ciemną, która wpada do rzeki Kiszki, ta do Nera, Ner do Prozny, Prozna do Warty i t. d.

A w zamku to nam wprost dech zapierało w piersiach od tych wspaniałości królewskich, tam nagromadzonych.

Sufity, drzwi i schody cudnie rzeźbione w drzewie. A w pokojach nagromadzono prawdziwe skarby: stare wazy i obrazy, łoża złociste i makaty wzorzyste, że nie wiesz, na co wprzód patrzeć, co wprzód podziwiać.

I pomyślałem sobie: Są magnaci, którzy całe miliony roztrwonili na byle co. Dobrze, że mamy w Polsce rody arystokratyczne, które nagromadziły takie wspaniałe skarby sztuki, abyśmy mogli cieszyć się ich widokiem, podziwiać je i uczuć się i chlubić się przed innymi narodami, że Polska nie jest krajem zacofanych dzikusów, że posiada takie oto skarby kultury i sztuki, których może nam zazdrościć niejeden kraj europejski.

Podniesieni na duchu, ruszyliśmy w dalszą drogę, zapuszczając się w lasy, których pełno jest w okolicy. Idąc za wskazówkami ludzi, odszukaliśmy w głębi lasu ogromny, kamienny głaz, zwany kamieniem djabelskim. Jest tak wielki, że wypełniłby bez trudu ogromną izbę. Skąd się tu wziął samotny wśród lasów? Czy z nieba spadł?

Pewna grzeczna pani nauczycielka, do której zwróciliśmy się z prośbą o wyjaśnienia, opowiedziała nam o tym kamieniu taką oto legendę:

Było to przed wielu, wielu laty. Djabieł, widząc, jak lud wierny pielgrzymuje do Matki Boskiej Częstochowskiej, zapalał wielkim gniewem i postanowił sobie zniszczyć to miejsce święte. Wziął więc na barki swoje ten oto ogromny głaz i — zgarbiony pod jego ciężarem

— Leży chora w szpitalu, lekarz pisał, gruźlica w ostatnim stadium... koniec...

— Czy panny Karoliny nie zdołały się już zatrzymać i popłynęły odrazu całą strugą. Przypomniały się jej czasy, gdy Julka była w domu, najmłodsza, ukończona, radosna, roześmiana Julka...

— Czego beczysz?

— Żal mi... żal mi, że Julka umiera.

— Dla nas już dawno umarła — mruknął Rafał, ale i jemu dziwnie zadrgały usta. Odwrócił się do okna i stał chwilę patrząc w deszcz, i bębniąc palcami jakiegoś marsza o ramę okna.

— No, trudno, koniec zawsze przyjść musi... Trzeba jednak, by któraś z was pojechała do niej. Jest tam jakaś córka, jej i tego draba, czternastoletnia dziewczyna, i właśnie doktor z polecenia Julki pisze z prośbą, byśmy się nią zajęli.

— Ja pojadę — ofiarowała się Sydonja.

— Trzeba w tym wypadku pamiętać, że to nie tylko córka Julki, ale i tego powsinogi, i Bóg raczy wiedzieć, ile odziedziczyła z nas, a wiele z ojca. W szkołach ją dalej niema za co trzymać, gospodarka rolna nie popłaca, a długi mi sięgają nad uszy, ale miejsce przy stole i dach nad głową możemy jej dać. Z pięćdziesiąt złotych trzeba ci będzie dać, co?

— idzie przez lasy ku Częstochowie. Ciężki był głaz. To też diabeł coraz więcej giał się ku ziemi, coraz trudniej oddychał, coraz wolniej stapał. Aż tu nagle na kościele wybiła godzina dwunasta i zapiał kur. W tej samej chwili diabeł stracił całą swą moc, a kamień ogromny przygniótł go aż do ziemi. Szamotało się diablisko i próbowało wygramolić się spod głazu — daremnie. I odtąd siedzi tam pod kamieniem diabeł uwięziony za karę, że chciał się targnąć na przybytek Najświętszej Panny.

Przypatrujemy się z przejęciem ogromnemu głazowi. Lecz cóż to? Wokoło kamienia widać wyraźny krąg, złożony ze zwęglonych kawałków drzewa. Czyżby diabeł dechem ognistym podpalił wokoło podściółkę leśną? Nie, to nie był diabeł, ani też nie byli to harcerze, którzy podobno lubią rozniecać wesołe ogniska. Był tu ni mniej ni więcej, tylko sam — generał Rydz Śmigły, który niedawno temu bawił w okolicy na polowaniu; a po polowaniu rozpalono wokoło kamienia ognisko, by przy niem ogłosić wyniki polowania. Tak nam opowiadał jeden z sąsiadów.

Dobrze — pomyślałem sobie — skoro naczelną wódz nie boi się diabła pod kamieniem, to też w razie czegoś nie ulegnie się ani Niemców ani bolszewików.

Po zwiedzeniu kamienia djabelskiego ruszyliśmy już prostą drogą do Turska.

Któżby się spodziewał? Wśród drzew, pokrytych zielenią wiosenną, wznosi się wspaniała świątynia, wysoka jak katedra poznańska. Przejęci, wstąpiliśmy

— Jak nie wydam, to odwożę z powrotem. Trzeba dokładnie obliczyć kolej dla mnie i dla dziecka, zanocować gdzieś muszę.

— No tak, tak...

— Pieniądze, Sydriu, to najlepiej do woreczka na piersiach, już ja ci go wmguszyję i tasienkę dam mocną — szepiała panna Karolina. — Że też to człowiek nigdy nie wie, co go spotka. Dawno już nie jeździłaś koleją, może jednak jabym pojechała, młodsza jestem i...

Rafał przeciął sprawę:

— Sydonja pojedzie. Warszawa nie Ameryka, a Sydonja nie dziecko, da sobie radę. Zapakuj co najpotrzebniejsze i każ Jaśkowi zaprzęgać.

Panna Karolina wybiegła, bo za drzwiami mogła się już swobodnie wyplakać, a tak ją dusiły te łzy.

Sydonja miała pójść za siostrą, ale zawahała się, jej szare, głębokie oczy zatrzymały się na twarzy brata. Zebrała całą swoją odwagę i zapytała:

— Jedno jeszcze chciałabym wiedzieć, Rafale. Jeżeli zastanę u Julki poprawę, czy mam ją zabrać do nas?..

— Lekarz pisze, że umiera...

— I lekarze się czasem mylą, więc co mam zrobić, Rafale, jeżeli się okaże, że będzie jeszcze żyła?

Wzruszył ramionami.

— Rób sobie, co chcesz, tylko mi jej tutaj nie przywoź. Wybrała. Niema wobec niej żadnych obowiązków. Umar-

w progi świątyni, by pokłonić się Panu Jezusowi i Matce Boskiej Turskiej, polecając jej w żarliwej modlitwie siebie i swoich bliskich. Wzruszająca to była chwila, gdy przed Mszą św. poczęła powoli opadać zasłona nad wielkim ołtarzem i ukazał się cudowny obraz Matki Boskiej, witany pobożną pieśnią wiernego ludu. I czuliśmy w głębi serca: Wiele jest wśród nas grzechów i wiele nędzy, ale nie zginie naród polski, dopóki jest nad nim opieka i błogosławieństwo Królowej naszej.

Wychodząc po nabożeństwie z kościoła, słyszeliśmy wesoły gwar ministrantów, a wśród niego — o dziwo — jakieś francuskie słowa: bon žur i podobne, których człowiek nasłuchiwał się w czasie wojny światowej. Wykazało się, że jeden z ministrantów, 11-letni chłopiec, niedawno przybył z Francji. I pomyślałem sobie: Sprowadza się nie raz panny francuskie z Francji, by uczyły dzieci francuskiego języka. Czy tacy państwo, co mają dzieci, albo pensjonaty, gdzie chowa się młodzież szkolna, nie mogłyby przygarnąć takiego małego francuskiego Polaka, dać mu utrzymanie i posyłać go do szkół, a on wzamian za to uczyłby rówieśników swoich mówić po francusku? Sądję, że ksiądz proboszcz w Tursku, poczta Gołuchów, któremu tak dobrotliwie i miłosiernie patrzy z oczu, chętnieby w tej sprawie pośredniczył.

Po sumie odbyła się akademja szkolna z okazji 3. Maja. Ale jaka akademja? Nie taka nudna, śpiąca, w zamkniętych murach, tylko na dworze w lasku brzozowym, położonym między kościołem a szkołą. Był tam ksiądz

leż mogę przebaczyć, żywej nie daruję. Coby na to powiedzieli ludzie, gdybyśmy ją teraz w dom przyjęli z powrotem... Tancerkę z kabaretu!

— A co powie Pa 1 Bóg, jeżeli jej nie przyjmimy? Siostrą naszą jest przecież. Cokolwiek robiła, to zawsze jednak pozostały pomiędzy nami węzły krwi. I nie można powiedzieć — obca, kiedy jest swoja. I nie można zaprzeczyć faktu, że mieliśmy tych samych rodziców i z tego samego jesteśmy pnia.

Skrzywił się:

— Bardzo jesteś dzisiaj wymowna, Sydonjo. Nie pamiętam, żebyś kiedy powiedziała tyle słów naraz.

— W swoich sprawach milczałam zawsze, ale to jest sprawa siostry. Chciałabym wiedzieć, jak mam postąpić, by było dobrze i zgodnie z twoją wolą. Julce nie można przypisać całej winy. Ciężko jest młodemu w domu takim, jak był nasz dom. (C. d. n.)



Akademja 3 Maja w Tursku

proboszcz i rektor szkoły, byli nauczyciele i rodzice, dzieci szkolne i młodzież pozaszkolna, był wizerunek Matki Boskiej i orzeł polski, były deklamacje i śpiewy i mowa uroczysta. A nad tem wszystkim jasne wiosenne słońce i wietrzyk wonny i radość ogólna i zgoda wzajemna.

I pomyślałem sobie: Czy tak nie powinno być wszędzie w Polsce? Zgoda między krzyżem, a orłem białym, między Kościołem a szkołą, między księdzem a nauczycielem, między rodzicami a władzami szkolnymi, między miłością Boga a miłością ojczyzny? Jedno mamy serce, katolickie i polskie; nie rozłączajmy tego, co Bóg połączył.

Tak nam minęła nasza wiosenna majówka. Pokrzepieni na duchu i na ciele, udaliśmy się w drogę powrotną, żegnając Matkę Boską Turską pobożnym pozdrowieniem: Zdrowaś Marjo!

Dynia — bania — korbal — tykwa

jako roślina jadalna, pastewna, olejista i lecznicza

Uprawę dyni znają wszyscy. Sadzimy ją w ogrodach i na kupach kompostowych, używamy jej do zapraw i zup jarzynowych. Tymczasem mało wiemy o dyni jako roślinie pastewnej dla żywienia naszych zwierząt domowych. Naturalnie dla tego celu należałoby wyjść z dynią z poza opłotków ogrodowych na pola i tam zastosować ją jako czysty siew lub międzyplon, np. w burakach pastewnych lub kukurydzy. Gdy kukurydzę już zasiejemy i obdziabiemy, wtedy możemy przystąpić do sadzenia dyni. Co trzeci rząd kukurydzy, w odstępach 4—5 metrów, wciśkamy do ziemi po trzy ziarenka dyni. Gdy rośliny wzejdą — przerywamy je, pozostawiając po jednej, najwyżej dwie roślinki. Pielęgnacja polega na dwu- lub trzykrotnym obradleniu i uwolnieniu od niepożądanych odnóg.

Również dobrze można uprawiać dynię na innych kawałkach pola lub kompostach. Trzeba jednakże zwrócić uwagę, by na roślinach zostawić najwyżej 6 owoców. Wtedy otrzymać będziemy mogli dynie o wadze nawet kilkunastu kg. Gęsto obsadzone rośliny dają owoce słabe, zawierające dużo mało pożytecznej skóry.

Plon z hektara sięgać może 400—500, a nawet do 1000 centnarów podwójnych. Dla bydła i kóz zadaje się

ubić wszystko w dole lub silosie we warstwy 40 cm. Każdą warstwę skropić zakwaszonym mlekiem. Kiszonka taka jednak wytrzymuje tylko kilka miesięcy.

Lepiej jednak przechowywać dynie susząc ją. Ten sposób jest tylko możliwy przy małej uprawie dyni.

Aby dynię zasuszyć, trzeba przeciąć ją na pół, wyjąć z niej nasiona a połówki zawiesić na sznurku. Suszone dynie dają się łatwo zgnieść na mąkę, której wartość odżywcza jest równoznaczna z wartością mąki kukurydziej.

Obrazek z wystawy ogrodników działkowych w Poznaniu (Pajac z dyni).

Nasiona wyjęte z wnętrza dyni należy oczyścić, obmyć, wysuszyć i przerobić na olej. Można je też użyć do tuczu inwentarza domowego, zwłaszcza do tuczu drobiu, dla którego nasionka dyni są świetnym smakołykiem.

Dynia lekarstwem
Skoro już piszę o właściwościach

Brzezi stawu bełkowskiego na G. Śląsku zarosłe dynią.

ściwościach nasion dyni, nie od rzeczy będzie podać Czytelnikom do wiadomości, że nasiona dyni mają również właściwości lecznicze. Stosuje się lekarstwo z dyni, gdy zwierzętom dokucza

tasiemiec. We walce z nim rozciera się nasiona, miesza z wodą i mąką na ciasto, z którego robi się pigułki i zadaje zwierzętom.

Również łodyga dyni posiada właściwości lecznicze. Ogonki oderwane w jesieni suszy się, czyści szczotką i rozciera na proszek.

Proszek ten gotuje się w mleku i zadaje zwierzęciu choremu na biegunkę. Dawka

Melon, podobny do dyni w rodzaju ogórka. Melon może być okrągły, gładki, siatkowany i brodawkowy. Uduje się na gruncie w ciepłych krajach. Przyrządza się z niego konfitury i spożywa w surowym stanie jako owoc deserowy.

w formie siekaniny z domieszką siewki. Dla świń i bydła tuczonego zadajemy dynię gotowaną, zmieszaną z siewką i śrutem zbożowym. Krowa dojna spożyć może 10 do 30 kg dyni dziennie, a świnia 2 do 5 kg.

Do końca listopada przechowuje się dynię w stanie świeżym. Później lepiej zakisić, pociąć w tym celu dynię na cienkie plastry i mieszać z siewką lub plewami,

Kto chce sadzić morwy?

Czytelnik Tadeusz Szewczyk p. Bełchałow, pow. Piotrków Trybunalski, ul. Czapliniec, chciałby się leczyć, lecz nie ma zaco. Dla tego postanowił sprzedać szkółkę drzewek morwy białej, liczącą 2000 krzewów i 500 wysokopięnnych drzewek. Kto by więc miał ochotę sadzić te

drzewka jako żywopłot i do hodowli jedwabników, niech się zwróci pod wyżej podanym adresem. Morwy wysła się za zaliczką: Trzyletnie krzewy o 1,20 m wysokości 100 sztuk — 20 zł. Trzyletnie drzewa od 1,30—1,80 m wysokości 10 sztuk 5 zł, a 100 sztuk 35 zł.

O gnojowni i szlachetnym gnoju

Gromadzenie gnoju w oborach wgłębiionych ma swe zalety i wady. Nowoczesne jednak zasady c ystości przemawiają raczej za gnojownią. Jedynie jałowiznę i młodzież można utrzymać bez usuwania gnoju. Gnojownia przy 30 m²

na 10 krów wystarczy, a zbiornik przy 20 m². A wiecie jak się robi gnoj szlachetny? Wywozi się go codziennie i spiętrza w stosie. Początkowo uклада się luźno, a gdy się zagrzeje silnie ugniata się.

proszku uzależniona jest od wielkości bydła, jednak obraca się w granicach od czubka noża do pełnej łyżki. Mączka taka zawiera białka 9,6 procent, tłuszczu 1,4 procent, włókna 8,3 procent a popiołu 4,7 procent.

To zestawienie wyjaśnia nam, że pod względem składu mąka dyniowa zbliżona jest do kukurydzy. Gen.

Więcej sadów i pszczół Jak zdobywać pieniądze?

Pisze nam bezimienny Czytelnik z Torunia (jeszcze przedwojenny), aby zwrócić specjalną uwagę na sadownictwo i pszczelnictwo, jako na zaniedbane gałęzie rolnictwa. Wszędzie się widzi powidła z kalifornijskich śliwek, a nasze śliwy dzielą los opadniętego przez mszyce i inne choroby, albo ich wcale nie ma.

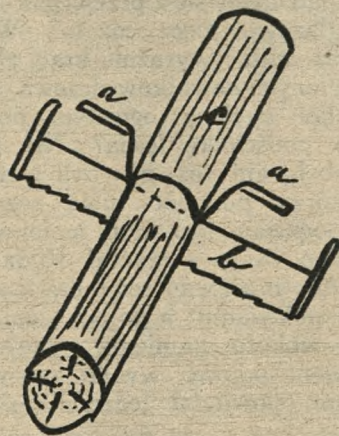
Wies cierpi niedostatek, majątki idą na licytację, a za miód płaci się drożej niż za masło, a w dodatku dostanie się mieszaninę miodu z syropem ziemniaczanym. Dobry natomiast miód trzeba sprowadzać znów z zagranicy.

Nasz włościanin nie chce się przekonać, że drzewa dają dochód, bo nie umie ich pielęgnować, a zresztą nie ma pieniędzy na szlachetne drzewka.

Dalej autor zwraca uwagę na niewykorzystane bogactwo torfowe. Szczególnie miał torfowy poza wartością opałową nadaje się do przechowywania owoców, marchwi i t. d.

Brak jest przedsiębiorstwa, któreby się zajęło produkcją odkwaszonego mialu torfowego. Owszem, sprzedaje się bale takiego torfu po 20 zł za 50 kilogramów, lecz znów zagranicznego. Cło wynosi 9 zł od 1 bala. Czyżby właściciele majątku nie zainteresowali się tą sprawą torfową? G.

Zamiast klina drewnianego



a = kawałek żelaza z uchwytem nakształt sierpa.
b = piła.
c = kłoc drzewa.

Przy pilowaniu kłoców i wałków wbijamy w otwór klin drewniany, aby piła swobodnie poruszała się w szczelinie.

Zamiast klina najlepiej użyć w wiejskiej kuźni zrobiony kawałek żelaza nakształt sierpa z uchwytami na obu końcach a ostrzem od zewnątrz. Przyrząd ten wsuwa się w szczelinę wypilowaną nad piłą.

Z TYGODNIA: Będziemy mieli mniej starych przyjaciół

Sprzymierzeńcy

Jeszcze nie powstał wielki obóz rządowy. Natomiast łączy się lub zbliża do siebie opozycja lewicowa. Legion Młodych chce pracować z Polskim Związkiem Demokratycznym i młodymi pepesiakami „na terenie młodego pokolenia”. Legion Młodych wyznaje te same hasła, co socjalizm (jeżeli nie skrajniejsze jeszcze) i brał udział w pochodach 1 maja. Legion — to dziecię byłego premiera Jędrzejewicza, pieczołowicie przezeń chowane i darzone łaskami, dziecię, które miało zastąpić szczerem osiwiiałych działaczy rządowych, należy dziś do opozycji i zwalcza ustrój, na którym się opiera państwo polskie.

Falszywa rachuba ludowców

Ludowcy znowu zbliżają się do P. P. S. Tak brzmi oświadczenie ich tymczasowego przywódcy Rataja, byłego marszałka sejmu. Ludowcy wiedzą, że ich wiele różni od socjalistów, ale łączy ich wspólna obawa „faszyzmu”. Ludowcy sądzą, że w opozycji oprócz nich tylko socjaliści i enpeerowcy są „demokratami”, zwolennikami pracy parlamentarnej; dlatego chcą iść z socjalistami razem, przynajmniej spoczątku, naprzykład gdyby zmieniono przepisy wyborcze i zarządzono nowe wybory. Ludowcy jednak muszą przyznać, że na sojuszu z socjalistami sparzyli się porządnie. I dziś są pozbawieni swego naturalnego wodza Witosa nie bez winy swych czerwonych sojuszników. Słowem, zarysował się w Polsce „front ludowy”, do którego pragną przystąpić komuniści.

Echa uroczystości majowych

O sile frontu narodowego dają pewne wyobrażenia wspaniałe pochody narodowców w Warszawie, Poznaniu, Lwowie, a zwłaszcza w Łodzi w dniu 3 maja. Wznoszono okrzyki na cześć armii narodowej i witano temi okrzykami oficerów, którzy odpowiadali salutowaniem.

Tegoż dnia odbył się w Katowicach obchód ku upamiętnieniu 15-tej rocznicy powstania śląskiego. Jen. Rydz-Śmigły zaznaczył w mowie do b. powstańców, że Polska musi być silna i potężna, aby nieprzyjaciół wiedział, że wojna z nami będzie niebezpieczna i groźna.

Wybory ściślejsze we Francji

nazwano czerwonymi, przyniosły one bowiem duże zwycięstwo frontowi ludowemu.

I tak komuniści zdobyli ogółem 83 krzesła, a mieli 21, czyli powiększyli swój stan posiadania czterokrotnie. Paryż, który wybierał dawniej narodowców, ma 16 posłów komunistycznych. Socjaliści z 97 posłów podskoczyli na 146, czyli zyskali 50 proc. i są najsilniejszym stronnictwem w sejmie. Natomiast socja-

liści, nienależący do Międzynarodówki, stracili 33 krzesła i mają (w 2 partjach) 38 posłów. Dużą porażkę ponieśli radykałowie (mieszczaństwo masonskie), sprzymierzeni z „czerwonymi”: zjechali ze 162 posłów na 110. Niemalą strąconio-nictwa cen-zymały z posłów. De-dowi (chrze-mokracja) dno miejsce, sta. Repu-miarkowani nowych



ja ogółem Zachowaw-nicy króla liczą 18 skali 7). Ra-377 krzesel, prawica brano 2

Ocena dla

Wybory nie są dla ślne. Bę-mieli mniej przyjaciół, cej takich rzy zapa-gwiazdę Polskę bę-ważyc i są-

92 posłów. cy, zwolen-lub cesarza, krzesel (zy-zem lewica centrum i 241. Wy-księży.

Polski we Francji nas pomy-dziemy starych a zato wię-ludzi, któ-trzeni w Sowietów, dą lekce-dzić ją po

Krzyż znamięm solidarności państw katolickich

Oto kopja krzyża, którym nuncjusz papieski, błogosławił wojska chrześcijańskie zmagające się z turecką nawałą pod Wiedniem.

Dziś, dla podkreślenia, że państwa katolickie winny stanowić jedną społeczność, wydobyto go z zapomnienia, sporządzono jego kopję i w nią to jeden złoty gwóźdź wbił Ojciec św. Pius XI., drugi Prezydent Austrii Miklas, trzeci p. Prezydent Rzeczypospolitej Ig. Mościcki, przedstawiciele 3 potęg, które w 1683 r. położyły tamę zwycięskiemu pochodom Mahometa.

Na obrazku pamiątkowy krzyż, z pieczęciami Ojca św. Austrii i Polski. (W. Pikiel)

tem, co o niej mówią i piszą bolszewicy.

VIII Ogólnopolski Sejmik Przeciwalkoholowy odbędzie się 17 i 18 maja br. o g. 10 w Poznaniu, w sali Starostwa Krajowego, Al. Marcinkowskiego 29. Informacyj udziela Kat. Związek Abstynentów, Poznań, Podgórna 12 b.

Suma zebranych dotąd ofiar na biedną ludność na Polesiu wynosi 3,885 zł 9 gr.

Odpowiedzi Redakcji

St. Czaj., Bochnia. Nie dlatego, aby cnota miała zostać w ukryciu, lecz jedynie dla braku miejsca nie możemy umieścić spisu wszystkich ofiar, przesłanych nam na poratowanie biednych Poleszuchów. Za nadesłane 100.— zł serdecznie dziękujemy. Dowody wysłanych ofiar na Polesie gotowi jesteśmy każdej chwili pokazać. — J. Walkowski, Stróż. Posłałmy do Kat. Zw. Robotników, Poznań, św. Marcina 69. — J. Łys. Serdecznie dziękujemy za korespondencję.

Wojna ukończona

W Afryce? Tak, bo 2 maja negus nagle z rodziną i ministrami opuścił Addis-Abebe, a 5 maja o 4 popołudniu marszałek Badoglio wkroczył do niej. Wiele osób przez ten czas zginęło od kul zbuntowanych żołnierzy abisyńskich, którzy rozgrabili pałac cesarski, bank, spalili pocztę, pozabijali kupców greckich i ormiańskich i z łupem uciekli w góry. Wodzowie abisyńscy na froncie południowym (Nasibu, Makonnen i Wahib-pasza), dowiedziawszy się o ucieczce negusa, porzucili front i przybyli do portu francuskiego Dżibuti. W Addis-Abebie rządzi włoski gubernator cywilny.

Dlaczego uciekł?

Ucieczka negusa była niespodzianką dla Anglii i Włoch, gdyż negus zapewniał, że gdyby Włosi zajęli Addis Abebe, on z wojskiem cofnie się w góry. Ale okazało się, że tego wojska nie ma. Kłeska, jaką poniósł nad jeziorem Aszangi, była rozstrzygająca. Oddziały abisyńskie, częściowo jeszcze niszczone w odwrocie przez zbuntowanych tubylców, stały się niezdolne do walki. Wobec tego negus zostawił stolicę na łaskę losu i przez Dżibuti udał się do Jeruzolimy do klasztoru. Zamierza jednak stanąć w Genewie, aby bronić wobec Ligi praw Abisynji do niepodległości.

Abisynja kolonją włoską?

Mussolini oświadczył, że „Abisynja jest włoską” z prawa i w rzeczywistości; przyłączy ją do Włoch jako nową kolonję. Nie sprawdziły się niedawne pogłoski, że Włosi osadzą na stolcu negusowym syna niedawno zmarłego negusa Lidz-Jassu, a Włosi obejmą taką opiekę nad Abisynją, jaką Francuzi mają nad Marokkiem.

„Ten raj się tylko dla silnych zieleni”

Mussolini nie tylko pokonał — wojskowo — Abisynję, ale także politycznie — zwyciężył Anglię i na drwiny wystawił ogólne bezpieczeństwo państw, na którego straży stoi Liga Narodów. Ci, co wierzyli w solidarność międzynarodową, wynieśli z tej wojny taką tylko naukę: biada słabym, chwała silnym!

Ale możeby Włochy nie zwyciężyły tak szybko i sprawnie, gdyby nie miały pomocy politycznej ze strony Francji. Na początku zeszłego roku Laval zawarł z Mussolinim układ, który między wierszami oddawał Abisynję pod „opiekę” włoską. Laval, a potem jego następca Flandin, nie dopuścili ani do współdziałania floty francuskiej z angielską ani do zamknięcia kanału Sueskiego, ani do zakazu przywozu ropy do Włoch. Natomiast Francja uniemożliwiała lub utrudniała przewóz broni do Abisynji swoją koleją z Dżibuti do Addis-Abeby.

Odpowiedzi udzielać będziemy tylko tym, którzy nadesłają znaczek pocztowy.

Pomóż a uratujesz rodzinę! 30-letni mężczyzna, żonaty, ojciec trojga dzieci, od 4-let bez pracy, w położeniu ogromnie ciężkim, szuka zajęcia. Z zawodu księgowy-bilansista, kasjer, korespondent, przyjmie jakiegokolwiek zajęcia. Szybka pomoc konieczna tem bardziej, że od kilku miesięcy nie ma już mieszkanka. Godny jak najszybszego poparcia. Mieszka w Poznaniu. Pilne zgłoszenia pod Red. Zet El.

Adoracje N. S.

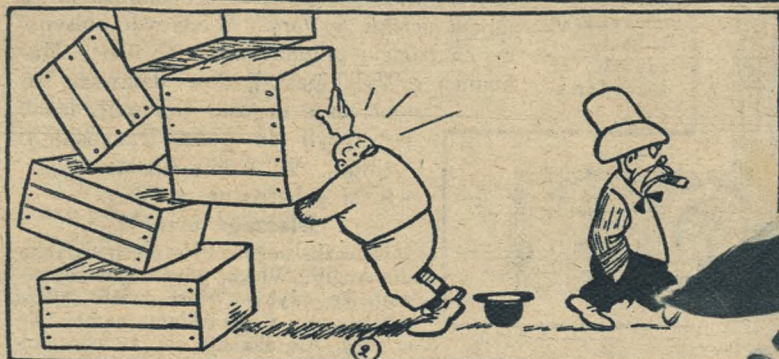
17. Twardów. 18. Brudzewo. 19. Graboszewo. 20. Mielżyń. 21. Ostrowo p. Strzałkowo. 22. Powidz. 23. Skarboszewo.

Pod pięknym obrazem Najsw. Marii Panny Wiosennej, którym ozdobiłmy 1-szą stronę „Przewodnika Katolickiego” na dzień 3 maja 1936 r. (nr. 18) zapominano umieścić nazwisko autora. Twórcą obrazu jest słynny polski malarz religijny Piotr Stachiewicz.

Biuro Informacyjne przy Chrześcijańskim Frontie Gospodarczym w Krakowie zawiadamia P. T. Wytwórców chrześcijańskich, że rozporządza kwalifikowanymi agentami i przedstawicielami w każdej dziedzinie handlu.

Kraków, ul. Gołębia 6. Ilp.

W LUBLINIE jest do odstąpienia większa pracownia obrazów. Zgłoszenia: Związek Polski — Poznań, Pocztowa 27.



Niezawsze w biedzie — pomagaj koledze!

Gwałtu niedobrze się dzieje,
ta piramida się chwieje!
pomocy!

Dobrze, że właśnie nadbiega
do wszelkich przysług kolega
ochoczy.

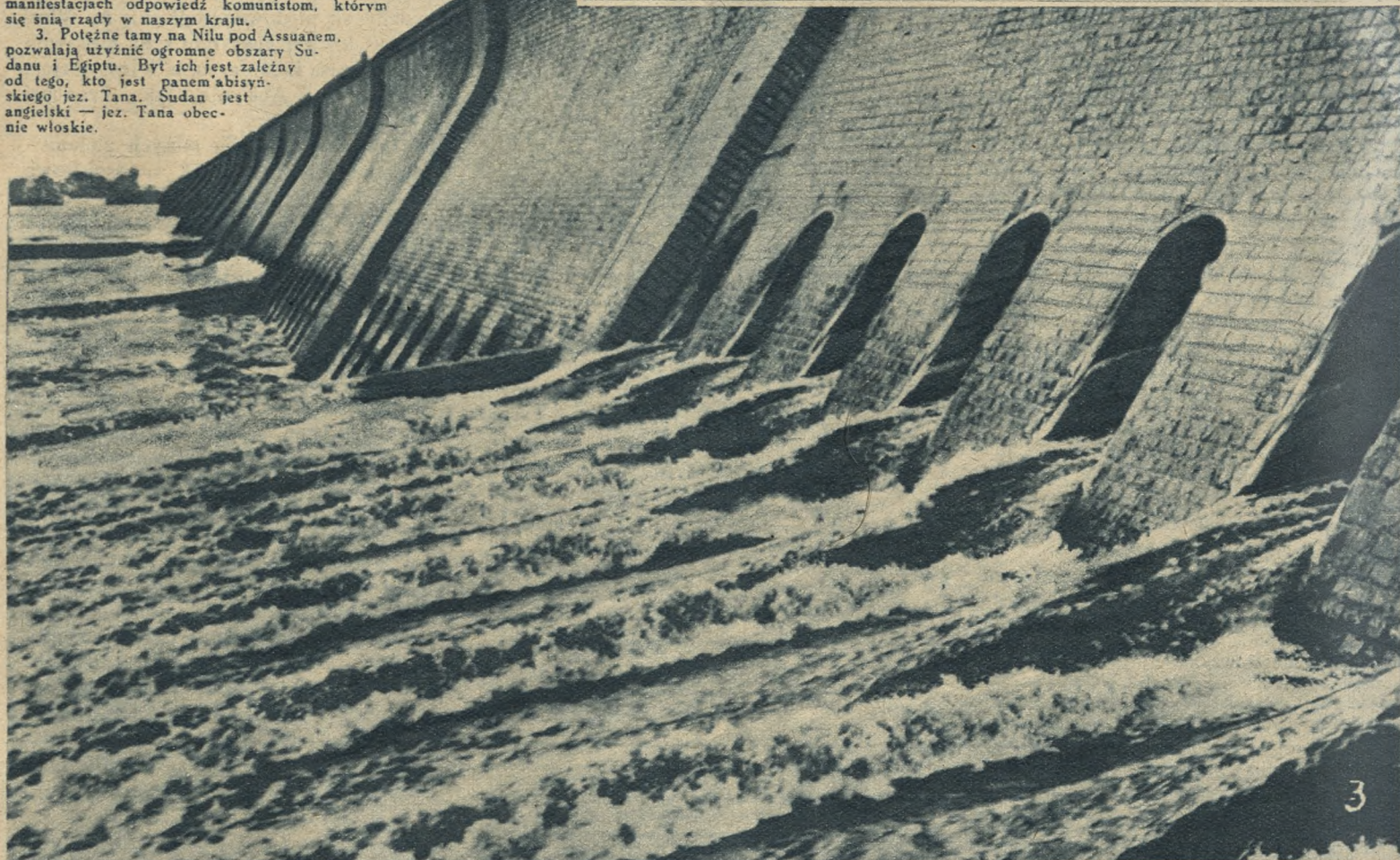
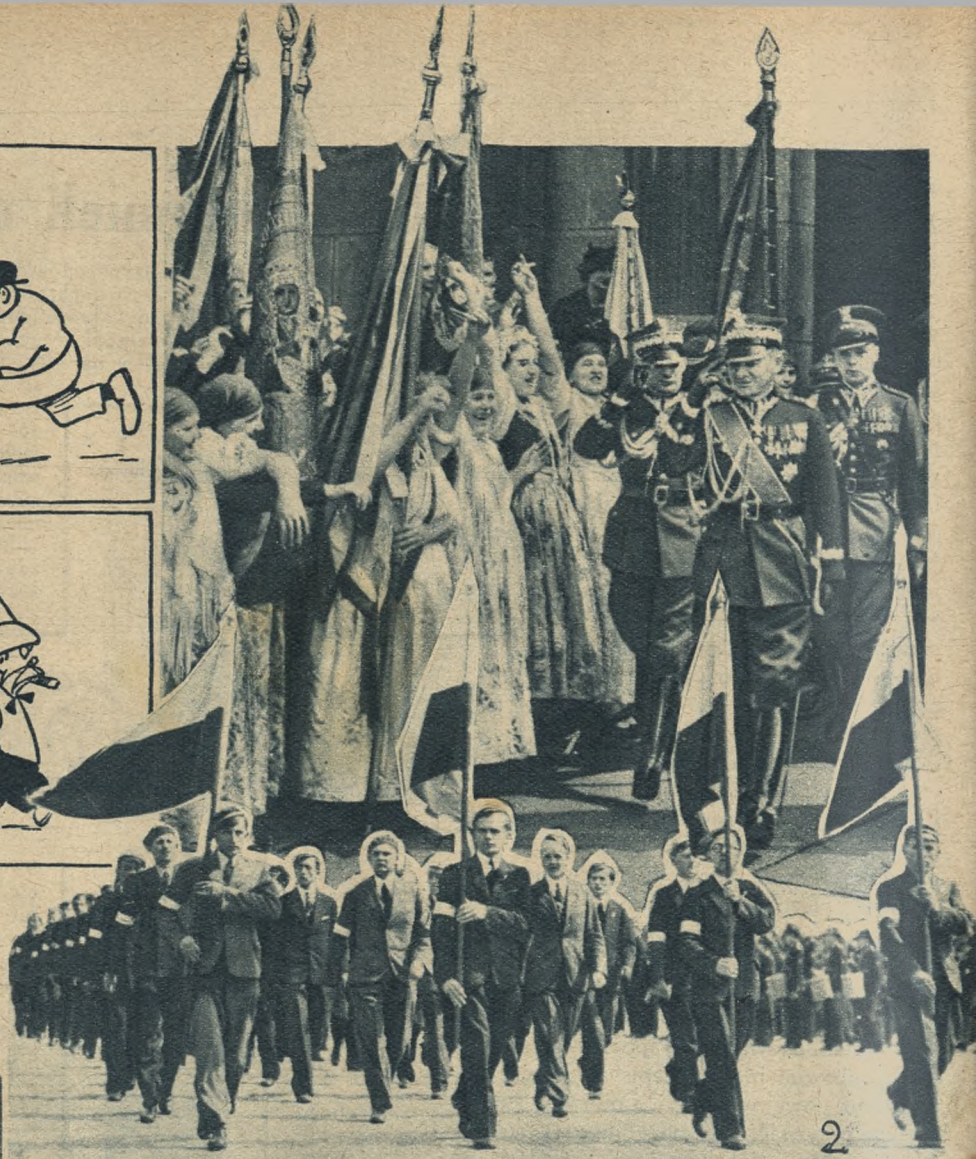
Niech sobie radzi w potrzebie
niech go ten ciężar pogrzebie
bez chwały.

Jam już namęczył się srodze,
więc zdrowy sobie odchodzę
i cały.

1. 15 lat temu Śląsk po raz trzeci zerwał się do walki orężnej z Niemcami, by podkreślić, że między odwiecznie polskim Śląskiem a zmartwychwstającą Ojczyzną nie może być barjery granicznej. 15-tą rocznicę tej chwili obchodzono niezwykle uroczystie. Zjechali na nią także przedstawiciele Rządu. Na obrazku Gen. Insp. Sił Zbroj. gen. Rydz-Śmigły przechodzi przed frontem organizacji społecznych.

2. W dniu 3 maja cała Polska dała w tłumnych manifestacjach odpowiedź komunistom, którym się śnią rządy w naszym kraju.

3. Potężne tamy na Nilu pod Assuanem, pozwalają użyć ogromne obszary Sudanu i Egiptu. Był ich jest zależny od tego, kto jest panem abisyńskiego jez. Tana. Sudan jest angielski — jez. Tana obecnie włoskie.



„PRZEWODNIK KATOLICKI” ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MAŁY PRZEWODNIK” oraz z osobnymi działami „ROLA I OGRÓD” i „SPRAWY KOBIECE”.

Przedpłata kwartalna wynosić będzie z dniem 1. I. 1936 za egzemplarze osobniczo odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1.70 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracji w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2.40 zł, od 10 do 59 egz. po 2.20 zł, od 60 egz. wzwyż po 1.90 zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi tak jak dotąd 2.34 zł, miesięczna 78 groszy, dwumiesięczna 1.56 zł łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki”.

W sprawach dotyczących rękopisów i w sprawach redakcyjnych prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego” w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: X. Franciszek Forecki w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki papieru „Malta”.

Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27.